CENA 30 GR.

NARÓD i PAŃSTWO

TYGODNIK

ROK I. WARSZAWA, 5 KWIETNIA 1936 R. NR. 9.

Pokłosie sejmowe

Sesja budżetowa izb parlamentarnych dobiega końca. Poza nami jest już pierwszy etap prac Sejmu i Senatu, stanowiący zamkniętą w sobie całość, pozwalający na wyciąganie wniosków i ustalanie prognozy na przyszłość.

Jakież mogą być te wnioski? Jakaż ocena i jakie przewidywania przyszłości? Przedewszystkiem zaś, jakie wskazania płynąć mogą z dotychczasowej pracy parlamentarnej w odniesieniu do całości sytuacji politycznej w kraju?

Obie izby parlamentarne w czasie ubiegłej sesji działały w warunkach wysoce swoistych. Warunków tych nie można uważać ani za zbyt trudne, ani za szczególnie łatwe. Przy wydawaniu sądu należy pamiętać zarówno o czynnikach ułatwiających, jak utrudniających i komplikujących normalny bieg działań zarówno Sejmu, jak Senatu.

Do czynników ułatwiających pracę należy zaliczyć przedewszystkiem pewną jednolitość politycznego charakteru izb. Nie było tam, a przynajmniej nie powinno było być, tej konieczności nieustającego ostrego pogotowia zaczepno-odpornego, jakie cechuje normalne życie parlamentu, wybranego w drodze walki wyborczej określonych grup, stanowiącego teren ścierania się przeciwstawnych, zorganizowanych, sił politycznych. Ta okoliczność powinna była dać parlamentowi podstawowe warunki owocnej działalności ustawodawczej, a więc: 1. zwiększoną zdolność pozytywnej pracy, 2. wyzwolenie z konieczności nieustającego zwracania uwagi na popularność prac i haseł, a temsamem zwiększenie niezależności sądów, wyzbycie się elementów demagogji, 3. łatwość właściwego ułożenia wzajemnego stosunku Sejmu i Rządu, 4. ułatwienie kontaktu ze społeczeństwem przez pewne sharmonizowanie sposobu oddziaływania na opinję publiczną.

Czynnik utrudniający był właściwie jeden: dogmatyczne uznanie zasady rozproszenia, jako wyrazu właściwego stosunku do zagadnień państwowych. Prowadziło to za sobą konieczność pewnego eksperymentowania, a równocześnie zwiększało opory i trudności czysto techniczne. Miało to natomiast pociągnąć za sobą doniosłe skutki z zakresu właściwszego ułożenia stosunku posła, czy senatora, do wszystkich zagadnień państwowych, przez wyzwolenie go z więzów dyscypliny grupowej, uniezależnienie jego poglądów od sugestji środowiska pokrewnego społecznie i politycznie, zostawienie pełnej swobody sumienia, nieskrępowanej względami solidarności klubowej.

Dogmatyzm rozproszenia został niejako ograniczony w jednym tylko kierunku, to jest przez dopuszczenie tworzenia grup regjonalnych, a więc uznanie wyższości więzów solidarności terytorjalnej w stosunku do wszystkich innych możliwych więzów solidarności i wspólnoty.

Nie będziemy tutaj powtarzali rozważań na temat, czy tego rodzaju uznanie zasady terytorjalnej, jako bardziej wartościowej i z punktu widzenia państwowego i społecznego mniej niebezpiecznej, jest słuszne. Faktem jest, że w praktycznej działalności izb zasada ta nie odegrała poważniejszej roli. Zgodnie z intencją twórców ordynacji wyborczej izby pracowały w warunkach jeśli niezupełnego, to w każdym razie daleko posuniętego, rozproszenia.

Jakież były rezultaty i jakie doświadczenia?

Nie będziemy zajmowali się tutaj samą techniką pracy ustawodawczej z punktu widzenia jej sprawności. Jest to punkt ważny, jednak niewątpliwie nienajważniejszy. Ważniejsze jest rozpatrzenie sprawy pod kątem zasadniczej roli parlamentu, jako ośrodka zdrowej myśli i planowego kierownictwa spraw państwowych.

I tutaj ubiegła sesja sejmowa nasuwa szereg daleko idących uwag krytycznych.

* * *

Z punktu widzenia zdolności pozytywnej pracy obu izb parlamentarnych, Sejmu i Senatu, sesja ubiegła nie dostarczyła zbyt wiele materjału, pozwalającego na wyrażenie sądu. Inicjatorem prac sejmowych był niemal wyłącznie Rząd. Poszczególni członkowie izb ustawodawczych wyzyskiwali najważniejszy moment sesji, dyskusję w sprawach budżetowych, dla oświetlenia i poruszenia szeregu bolączek najrozmaitszej natury, spraw ogólnych i spraw lokalnych, przeważnie pozostających w bardzo luźnym stosunku do sprawy samego budżetu i dyskusji ściśle budżetowej. Jednakże nie poczuwali się oni na siłach do występowania w charakterze zdecydowanych i świadomych swej roli inicjatorów zmian. Nad całością prac sejmowych ciążył moment pewnej bezradności. Pierwiastek dyskusyjny, pierwiastek skargi na stan istniejący, dominował nad czynnikiem woli i programowego dążenia do ustawowego regulowania spraw, powodujących skargi i niezadowolenie dyskutantów.

Tego rodzaju sytuacja może być zapisana na konto debetowe minionej sesji, czy też nawet obecnego parlamentu. Jednakże łatwo tu o okoliczności łagodzące i usprawiedliwiające. Sam fakt, że zarówno Sejm, jako instytucja, jak również większość posłów, wyrabiała sobie dopiero system i metodę pracy, może stanowić tu poważne usprawiedliwienie.

* * *

Gorzej już przedstawia się sprawa wyzwolenia ciał ustawodawczych spod terroryzmu psychicznego, jakim jest dla każdego posła, czy senatora, zapytanie, czy z jego postępowania w parlamencie będą za-

dowoleni jego wyborcy. Tutaj sesja ubiegła przyniosła pewną liczbą przykładów, zniewalających do ostrożności w formułowaniu odpowiedzi, czy obecny system jednostkowej odpowiedzialności jest bezpieczniejszy, niżeli system poprzedni odpowiedzialności grupowej.

Poseł, czy senator, głosujący solidarnie z całością klubu parlamentarnego, ponosił osobiście tylko drobną cząstkę odpowiedzialności za decyzję klubu. Dzisiaj ponosi odpowiedzialność całkowitą i bezpośrednią. To też zagadnienie popularności, czy niepopularności, zajętego w dyskusji, czy głosowaniu, stanowiska, staje się dla niego czemś niemniej ważnem, niżeli było przy systemie dla całości klubu. W ciągu ubiegłej sesji budżetowej przejawiło się to niejednokrotnie. Niewątpliwie charakterystycznem było to, że największe rozterki duchowe wywołała sprawa uboju rytualnego, gdzie wchodziły w grę najłatwiejsze do wyzyskania w agitacji terenowej momenty zagadnienia żydowskiego. Jednakże i tutaj trzeba podkreślić, że w ostatecznym wyniku większość posłów i senatorów potrafiła opanować lęk przed ewentualnem wyzyskaniem w agitacji terenowej demagogicznego momentu, że izby niedostatecznie radykalnie potrafiły rozstrzygnąć sprawę, która dla przeciętnego wyborcy wydawała się niewątpliwie o wiele mniej skomplikowana, niżeli była w istocie.

* * *

Sprawa stosunku Sejmu i Rządu pozornie była bardzo prosta i jasna. Rząd jest emanacją tego samego kierunku politycznego, jest on powołany przez Prezydenta Rzeczypospolitej, którego stanowiska wzmocnienie stanowiło przecież podstawowy cel wielkiej walki o naprawę ustroju, prowadzonej przez obóz, którego kontynuacją są dzisiejsze izby. Stąd też pozornie należałoby się spodziewać, że Rząd może liczyć na zasadnicze poparcie niemal całości izb parlamentarnych, co — oczywiście — nie wyłącza możliwości takich, lub innych głosów krytyki na terenie Sejmu, czy Senatu.

W istocie sytuacja ułożyła się raczej odmiennie. Poza nielicznemi wyjątkami dyskusja nie przynosiła momentów ostrzejszej krytyki. Natomiast przy załatwianiu spraw konkretnych Rząd napotykał zwykle na poważne trudności. Szczególnie charakterystyczna była tu sprawa pełnomocnictw, które w latach poprzednich dawane były w każdej postaci, w jakiej którykolwiek z ówczesnych rządów o nie występował, bez żadnych trudności i na dowolny czas. Dzisiaj w obu wypadkach, w których Rząd występował po rzeczowo uzasadnione i ograniczone zarówno co do czasu, jak zakresu pełnomocnictwa, ze strony znacznej części izb parlamentarnych podnoszone były zupełnie zasadnicze wątpliwości, czy udzielenie pełnomocnictw nie jest rezygnacją z zasadniczych praw parlamentu, co na to powie społeczeństwo, czy Rząd tych pełnomocnictw nie nadużyje w sposób lekkomyślny etc.

Na podstawie doświadczeń ubiegłej sesji możnaby zaryzykować twierdzenie, że współpraca Rządu z Sejmem rozproszonym nie jest bynajmniej łatwiejsza, niżeli była z Sejmem zorganizowanym. Przeciwnie, w dzisiejszych warunkach, przy których sprawy układają się już nietyle w myśl takiej czy innej linji politycznej, ile w myśl zasad psychologji wielkich zbiorowisk rozproszonych — niespodzianki praktyczne mogą być dla rządów poważnie przykre. W wysokim stopniu działają tu prawa sugestji zbiorowej, dreszcze nastrojów, przypływy i odpływy zadowolenia i niezadowolenia — słowem to wszystko, co może przyczynić się do zaciemnienia obrazu, do zwiększania wypadkowości decyzji i wyników.

* * *

Do najciemniejszych punktów w całości obrazu izb parlamentarnych podczas sesji ubiegłej należą niewątpliwie:

1) brak jaśniejszej myśli społecznej, brak programowego stosunku do zagadnień socjalnych,

2) brak bezpośredniego kontaktu z całością życia społeczeństwa, brak zorganizowanej formy oddziaływania na społeczeństwo.

Myśl społeczna, programowy stosunek do zagadnień socjalnych, wyraziły się w czasie sesji ubiegłej niemal wyłącznie w formie deklaratywnej w przemówieniach niektórych posłów i senatorów, reprezentujących bezpośredni związek z życiem wsi i miast polskich przez udział w organizacjach społecznych, pracę na odcinku samorządowym etc.

Jednakże był to raczej tylko dzwonek alarmowy, niżeli istotne wypełnienie tej części zadań naszych ciał ustawodawczych, które dotyczą odpowiedzialności za zdrowy rozwój stosunków społecznych, za uniknięcie wstrząsów, któreby mogły podważyć i osłabić naszą siłę państwową. Było to tembardziej niewystarczające, że wiązało się z niewątpliwą izolacją, w której pracowały obie izby ustawodawcze, niemające form bezpośredniego bliskiego kontaktu ze społeczeństwem. Działo się to w okresie, w którym z zewnątrz murów sejmowych nietylko narastały, ale i uzewnętrzniały się niebezpieczeństwa konfliktów, mogących w pewnym momencie zaburzyć w sposób wysoce nieprzyjemny nastrój sielanki, w którym dyskutuje się nad sprawami socjalnemi w Polsce.

W tych warunkach rzeczą konieczną było, by dzwonek alarmowy, którym były przemówienia poszczególnych przedstawicieli świata pracy miast i wsi w dyskusjach sejmowych i senackich, spotęgował swój głos w sposób zapewniający możność istotnego oddziaływania na bieg wypadków.

Wyraziło się to w ostatnim okresie ubiegłej sesji w postaci przedewszystkiem powstania 2 grup działaczy społecznych, piastujących mandaty sejmowe i senackie, a dbających o utrzymanie swego bezpośredniego kontaktu z realnem życiem zarówno miast, jak wsi, na terenie całego Państwa, następnie zaś w postaci wytworzenia ścisłego porozumienia pomiędzy temi grupami.

W ten sposób powstał czynnik, mogący w sposób bardziej niż dotąd konkretny i zwarty dbać o należyte postawienie w pracach przyszłych izb ustawodawczych podstawowych zagadnień z zakresu naszych stosunków społecznych.

Powstanie tego czynnika w ostatnim momencie sesji ubiegłej stanowi niewątpliwie moment poważnie dodatni, mogący mieć doniosłe znaczenie dla całości prac sejmowych i senackich w następnych sesjach obecnego parlamentu.

Przed parlamentem tym stoi trudne i odpowiedzialne zadanie: wytworzenia tego rodzaju warunków, przy których udałoby się usunąć grzechy dawnego przedmajowego systemu: dyktaturę walczących ze sobą partyj na terenie parlamentu — oraz grzechy dzisiejszego systemu: bezprogramowość i rozproszenie czynnika woli zbiorowej. Opublikowane ostatnio porozumienie 2 grup działaczy społecznych — wiejskiej i miejskiej — może poważnie przyczynić się do rozwiązania tej sprawy w sposób istotnie wartościowy. A wówczas i ogólny bilans przyszłych sesyj może być wolny od tych zaniedbań, które poważnie osłabiają ogólną wartość dorobku zamkniętej przed tygodniem sesji.

Adam Uziembło

Walka o ideał

Każda jednostka ku czemuś dąży, pragnie coś zdziałać, czegoś dokonać. Tak jest z jednostką ludzką — tak jest również, gdy mowa o zbiorowości. Luźna gromadka, czy stowarzyszenie może się rozwiązać i zagubić owe dążenia. Nie zagubi ich nigdy żywa, zwarta, przez dzieje spojona gromada, jaką jest naród czy państwo. Każdy zbiera siły i środki, każdy kształci swe moce, by jeżeli nie dziś, to w przyszłości, stanąć do wielkiego współzawodnictwa w twórczości, by móc sięgnąć po palmę pierwszeństwa. I my, jako Rzeczpospolita Polska, musimy mieć poczucie własnej godności, poczucie sprawdzalne miarą naszych dążeń, jako państwa. A mus ten nie jest tylko dobrem życzeniem, ale warunkiem naszego bytu i naszego rozwoju.

Starsze pokolenie nie zdaje sobie z tego sprawy całkowicie. Każe ono młodzieży cieszyć się z posiadanej, zdobytej niepodległości. I zapomina o tem, że Polska wtedy, gdy była celem, stanowiła w umysłowości naszej pewien szczyt. Miała ziścić wymagania sprawiedliwości narodowej, społecznej, kulturalnej. Nawet ci, co rozumieli, że nie ściągnie ona raju na ziemię, którzy rozumieli i to, że z zapasów o wolność wyjdziemy wyczerpani, że powstaniemy jako twór daleki od doskonałości — nie malowali, ani nie wyobrażali sobie nigdy, że będzie tak, jak jest obecnie. I nie tylko pod względem gospodarczym.

Dziś jesteśmy państwem. W życiu powszednim przedstawicielem jego dla szeregowego obywatela jest policjant. Mamy podatki, sekwestratorów, kartele, kryzys. Jest i garstka uprzywilejowanych, oddzielona murem zamożności i stanowisk od narodu. Jest nędza bezrobotnych, miljon dzieci poza szkołą, przednówkowy głód wsi. Żyjemy wśród nieustannych wyrzeczeń się.

I pytamy dlaczego, w imię czego?

Odpowiedź: dla Państwa, w imię Państwa — nie wystarcza. Państwo już nie jest dążeniem. Ono samo musi do czegoś dążyć. Ono samo winno po coś sięgać. Państwo dla tego, co nie jest „urodzony w niewoli, okuty w powiciu" stanowi narzędzia wielkiej twórczości społecznej i ogólnoludzkiej.

I również nie wystarczy powiedzieć, że państwo ma za zadanie ziścić wymogi powszechnej sprawiedliwości, zapewnić dobrobyt obywatelom swoim. Jeżeli ograniczymy wszystko do tego określenia, to w pewnej chwili może nam ktoś przeciwstawić pojęcia sprawiedliwości oderwanej i państwa i szukać ziszczenia owej sprawiedliwości poza niem. A wtedy wypadnie toczyć spór o same założenia, które w sumieniach naszych są już rozstrzygnięte.

Trzeba więc inaczej stawiać zagadnienie. Ideał sprawiedliwości społecznej jest sprawą wewnętrzną. Cele nasze muszą sięgać dalej i nie tracąc z oczu jednostki, otwierać szeroko pole widzenia na świat.

Do czego Rzeczpospolita dąży? Gdzie zmierza? Czego dokonać ma w świecie? Czem jest to, czego dokonać możemy tylko jako Polska, jako Polskie Państwo?!

Zdobycie świata? Anglja tak rozumiała swe posłannictwo. Rozpostarła władztwo nad wszystkiemi morzami. Hasło „Deutschland über alles" do dziś dnia porywa młodzież niemiecką. Faszyzm obiecuje odrodzić cesarstwo Romy. Moskwa zapewnia, że w ogniu powszechnej rewolucji przetopi ustrój całej kuli ziemskiej. Japonja sięga po władzę nad Dalekim Wschodem. Norwegja chlubi się pierwszeństwem w pochodzie ku biegunom. A my co?! Gdzie my przodujemy? Na jakiem polu sięgamy po pierwszeństwo, po kierownictwo?

Z każdego łamu naszych dzienników grzmi nawoływanie do „realizmu", do liczenia i mierzenia, do oszczędności, do wszystkich tych najbardziej poziomych cnotek, bez których wprawdzie nie można tworzyć codzienności życiowej, ale które życia nie wypełnią i myśli nie wypełnią, które nie stworzą najbardziej podstawowego czynnika wszelkiej twórczości — zapału.

* * *

Niedawno mogliśmy podziwiać zdumiewające zjawisko. Całodzienne rozprawy w jednej z naszych izb ustawodawczych poświęcone zostały piętnowaniu stronnictwa politycznego, które nie ma przedstawiciela ani w Sejmie ani w Senacie, które przecież rozprzestrzenia swe wpływy — a w tej chwili skupia już pod swemi sztandarami większość młodzieży, przenika na wieś, uzyskało większość w samorządzie najbardziej przemysłowego miasta byłej Kongresówki i we wszystkich swych wystąpieniach sięga po stanowisko partji jedynej. Przez cały dzień piętnowaliśmy Narodową Demokrację. Zgoda, że stanowi ona najbardziej rozkładowy czynnik w naszem życiu; zgoda, że hasła jej służą jedynie do usypiania myśli, do pognębienia czujności, zamordowania twórczości, skrępowania woli; że w jej szeregach znajdujemy najbardziej poniżające objawy zwyrodnienia duszy narodu. A przecież ona się szerzy. I przecież muszą istnieć jakieś przyczyny tego. A przedewszystkiem zwalczanie jej przez samą obronę i potępienie nie wystarcza. Jeżeli coś podobnego do niej może zająć tyle miejsca na naszej ziemi — to znaczy, że istnieje wśród nas jakaś pustka, jakieś miejsce próżne, któregośmy nie zdołali wypełnić czemś bardziej wartościowem.

Sprawa młodzieży? Lecz młodzież sama nigdy i nigdzie wielkich ideałów nie stworzyła. Młodzież może je przyjąć, może oddać im płomień swojego zapału, najgłębsze swe ukochania, ogrom poświęcenia. Młodzież może pójść za czemś, ale to coś trzeba jej wskazać. Nie przez potępienie tego, co uważamy za szkodliwe, ale przez wydźwignięcie czegoś, w czem tkwią istotne pierwiastki wielkości możemy ją zdobyć — możemy zdobyć naprawdę masy. I wielkim błędem niepodległościowców wczorajszych jest to, że, zapomnieli, iawszy się w swoiem rozumieniu najpotrzebniejszej, najniezbedniejszej pracy „organicznej", iż w pochodzie czasu idą za nimi tacy sami, jak oni ludzie, co także pragną przeżyć wiek „górny i chmurny" i muszą się rządzić „rozumem szału", „mierzyć siły na zamiary nie zamiar podług sił" i „cel mieć uwiązany u wież wierzchołka", a wreszcie zdobyć to, co zmęczeni wiekiem uważają za odległe marzenia. I w braku haseł z własnego gruntu wyrosłych, hasła przychodzą — z zagranicy, jako przywóz, obcy, wytarty, zliczmaniony.

Patrzymy: nierządne Włochy pod ręką Mussoliniego przetwarzają się w taran spoisty, rosną i rozkołysują do potężnego uderzenia.

Rozpędził Hitler gadający parlament i zrzuca pęta krępujących, upokarzających naród niemiecki układów i dla rasy swej osiąga zdobycz po zdobyczy.

A możeby tak Polska?... Ot zdławimy u siebie Żydów, potem runiemy na wschód, wydrzemy komuś kolonje. Może by tak zaśpiewać: Polska, Polska ponad wszystko?

Nonsens? Cóż stąd? W ideologji nacjonalizmu jest zawsze dużo nonsensów. Przecież co drugie słowo powiadamy, że jesteśmy mocarstwem — choć obecny minister skarbu w swych „dysproporcjach" nie wahał się wskazać i wykazać z właściwym sobie talentem, że pod każdym względem należymy właściwie do „Europy B" i wiele jeszcze trzeba wydobyć sił, by przejść do państw kategorji A. O przesłankach min. Kwiatkowskiego wiemy doskonale, o słuszności jego wnioskowania jesteśmy przekonani, a przecież traktujemy swą mocarstwowość nie jako przyszłość i obowiązek, ale jako obecność i nie widzimy nawet uśmiechów szydliwych, z jakimi tę deklamację spotykają ludzie na świecie.

Polska ponad wszystko!

Liche to tłumaczenie niemieckiej pieśni nacjonalistycznej nie może odzwierciadlać naszych dążeń, bo nie jest i nie może być naszym celem podbój i uciemiężenie i nie możemy nawet tego dokazać, gdybyśmy chcieli. I wszystkie marzenia o tem są nie tylko głęboko niemoralne, ale zgoła szkodliwe.

A jednak śmiem twierdzić, że Polska jest przeznaczona do tego, by ludy prowadzić w przyszłość, że Polska ma posłannictwo wielkie do spełnienia, że, więcej — tylko przez Polskę są do osiągnięcia wielkie ideały istotnego pokoju i istotnego braterstwa ludów.

I jeszcze więcej — droga ta jest już ukazana, już odkryta. Droga ta — to nie wynik suchej szkolarskiej spekulacji, ale jest to kierunek rozpędu, w którym pchają nas dzieje — stanowi wynik dorobku naszej myśli i naszych przeżyć i naszych doświadczeń.

Drogą tą zdążał Piłsudski.

* * *

Niedawno, na łamach „Buntu Młodych" czytaliśmy niezmiernie ciekawy wywiad z A. Ładosiem, byłym sekretarzem naszego przedstawicielstwa do rokowań pokojowych w Rydze. Jak świadczy p. min. Ładoś, została tam złamana dążność federalistyczna Naczelnika Państwa. Złamał ją St. Grabski oparty o opinję większości sejmowej. P. Ładoś wyraża przekonanie, że dla przeprowadzenia własnych zamysłów wówczas J. Piłsudski musiałby się uciec chyba do zamachu stanu.

Czy na wschodzie działalność nasza jest już skończona? Na razie nie tykamy tej sprawy. To zagadnienie bynajmniej nie jest podług nas zasadnicze. Ani nasza przyszłość nie jest na wschodzie, ani wschód naszych możliwości nie wyczerpuje. Pole pracy dla Polski jest ogromne i obejmuje świat cały, a przynajmniej naszą część świata.

Europa, jeżeli żyje w stanie ciągłej niepewności, ciągłego wrzenia, to dlatego, że stanowi pole dla współzawodnictwa imperjalizmów. Nie czują się w niej bezpiecznie mniejsze państwa. Stąd płynie ich przychylność do Związku Narodów. Stąd też nadzieje, jakie w nim pokładają. Stąd te nieustające dążenia do wzmocnienia jego powagi. I oto jest pole pracy dla nas — wśród tych narodów.

Położenie geograficzne Polski, jej siła, jej możliwości rozwojowe wskazują nam drogę — jest nią praca nad zrzeszeniem tych wszystkich, którzy dziś czują, że nie sprostają w pojedynkę zaborczym zachciankom potentatów.

Od Nordkapu po Matapan — wszystko czeka naszej śmiałej i stanowczej inicjatywy. Polska ma dość mocy, by ją podnieść — trzeba tylko by miała dość ambicji. A podnieść ją będziemy mogli pod warunkiem, jak słusznie powiada Znaniecki, na drodze nie tyle politycznej, co wychowawczej, urabiając całą duszę narodu do wypełnienia tego szczytnego posłannictwa. Nie nacjonalizm, ale owo dawne, powstańcze: „za wolność naszą i waszą" jest siłą Polski.

* * *

Już niedługo prawdopodobnie badacz prądów ideowych, nurtujących w społeczeństwie polskiem doby dzisiejszej, będzie ze zdumieniem rozważał tragiczną zagadkę, w jaki sposób się stało, że naprawdę wiekopomne prace najwybitniejszego z współczesnych socjologów polskich, człowieka o genjalnym polocie i niesłychanej wnikliwości, prace Florjana Znanieckiego pozostają w cieniu. Jak się to dzieje, że myśliciel, który przez cały ogrom badania dociera do tego, co stanowi przewodnią myśl w dziejach Polski, co stanowiło i jest jej potęgą, co stanowić winno silnik jej rozwoju — nie znajduje echa. Jego książki — „oceniają" sprawozdawcy, omawiają różni pisarze ze stanowiska naukowego. Czytelnicy wertują je i zdają się nawet nie podejrzewać, że stoją wobec nieprzebranej skarbnicy—wobec założeń, o które wspierać się winien program polityczny Rzeczypospolitej Polskiej.

* * *

Nie będziemy wszczynali sporu, jaką ma być nasza polityka zagraniczna. Na łamach tych poświęcono tej sprawie wiele miejsca stosunkowo i ze stanowiska „dziś" nie wieleby można było dodać do tego.

W tej chwili nie chodzi nam o ugody i ustępstwa wzajemne przy takich czy innych układach. Patrzymy dalej — patrzymy w przyszłość, w tę przyszłość, która każe nam szukać jednej obrony i dla Szwecji i dla Czechosłowacji i dla Rumunji i dla Jugosławji i dla tych wszystkich, którzy własnemi tylko siłami nic sobie zapewnić nie mogą, a którzy razem stanowią potęgę przewyższającą wszystko, na co dzisiejsi mocarze zdobyć się mogą.

To jest praca godna nie tylko wielkiego, ale naprawdę świadomego dróg swoich narodu — praca, którą nam przyszłość nasza wskazuje. To jest cel, którego inaczej jak przez Polskę — nikt osiągnąć nie może. To jest nasze posłannictwo i nasza droga. Jest ona nie mniej sławna, niż jakiego innego tworu politycznego, jest ona od wszystkich innych bez porównania chwalebniejsza.

Ta droga wymaga istotnego zapału.

Jeżeli ten cel pocznie się iścić — rozprawa nad nim przeprowadzona uderzy o wiele skuteczniej rozkładowe czynniki anarchizujące dziś społeczeństwo, niż najstraszliwsze gromy potępienia.

Tylko trzeba zacząć od oczyszczenia własnej duszy z naleciałości obcych, z wszelkiego rodzaju rasizmów, cezaryzmów, faszyzmów i t. d. — bo nic tak jak one nie staje nam na drodze do osiągnięcia wielkości.

Józef Wojciechowski

Elementy orjentacji wschodniej Niemiec hitlerowskich

Wynik wojny światowej przyniósł Niemcom gorzkie rozczarowania we wszystkich dziedzinach, a między innemi w dziedzinie realizacji wielkiego programu wschodniego, wyrażającego się w dobie wojny w trzech następujących punktach: 1) korekta granicy wschodniej Niemiec na odcinku b. Królestwa Kongresowego, 2) opanowanie pobrzeża bałtyckiego aż po Zatokę Fińską, 3) stworzenie strefy stałych wpływów na południowym wschodzie przez oderwanie od Rosji ziem ukraińskich i uczynienie z nich trwałego oparcia przeciwko Rosji.

Klęska wojenna nie oznaczała jednak zamknięcia okresu marzeń niemieckich o wielkiej ekspansji wschodniej. Nadzieje odżyły prędko, a orjentacja wschodnia zaczęła się niebawem wyładowywać w rozszalałej propagandzie rewizjonistycznej, zbrojnej we wszystkie argumenty, wypracowane przez teoretyków „Drangu nach Osten" na przestrzeni wieków. Równocześnie zaś odbywa się wewnątrz społeczeństwa niemieckiego planowe budzenie zainteresowań wschodnich przez doskonale zorganizowane związki „Heimattreuerów", „Bund Deutscher Osten", a częściowo i „Volksbund für das Deutschtum im Auslande". Rządy niemieckie inwestują olbrzymie sumy na kresach wschodnich Rzeszy, by je umocnić gospodarczo i przysposobić do roli awangardy, nowego pochodu wschodniego.

Ruch narodowo-socjalistyczny, który ruszył w Niemczech do walki pod hasłem wielkiego „odnowienia" (Erneuerung), potęgi politycznej Niemiec, podjął między innemi prace nad stworzeniem podstaw doktrynalnych dla nowej orjentacji wschodniej. Posłuchajmy co o tem mówi biblja tego ruchu, książka Adolfa Hitlera „Mein Kampf". Poruszając zadania niemieckiej polityki zagranicznej, Hitler tak precyzuje jej cele:

„My narodowi-socjaliści kładziemy świadomie kreskę pod kierunkiem polityki zagranicznej naszych czasów przedwojennych. Nawiązujemy do tego momentu, w którym zatrzymano się przed sześciuset laty. Powstrzymujemy odwieczny pochód germański ku południu i zachodowi Europy i zwracamy oczy ku ziemi wschodniej. Zamykamy wreszcie okres polityki handlowej i kolonjalnej czasów przedwojennych i przechodzimy do polityki terytorjalnej przyszłości"[1]).

Cóż to jest ta „polityka terytorjalna przyszłości". Określenie powyższe wiąże się z dwoma magicznemi pojęciami, które przenikają ideologię narodowo-socjalistyczną, powstarzając się nieustannie: „Rasse und Raum" (masa i przestrzeń). Oznaczają one, że hitleryzm dąży do zjednoczenia narodu niemieckiego na platformie rasowej i że poszukuje dla tego narodu, tłoczącego się już dziś na stosunkowo ciasnym obszarze, nowych przestrzeni.

Pęd do nowych przestrzeni jest tembardziej zrozumiały, że narodowy socjalizm występuje jako rzecznik intensywnej rozrodczości. Gdzież tedy są te nowe przestrzenie. Program kolonjalny, jakkolwiek w kategorycznej formie przez hitleryzm stawiany, nie jest jednak pomyślany jako remedjum na przeludnienie. Przytoczone przed chwilą słowa Hitlera nie pozostawiają co do tego żadnej wątpliwości. W istocie narodowego socjalizmu leży, że patrzy on z niechęcią na terytorjalne rozpraszanie się narodu. W książce „Mein Kampf" znajdujemy odpowiedź niedwuznaczną:

„Jeżeli dziś w Europie mówimy o nowem terytorjum i przestrzeni możemy myśleć przedewszystkiem tylko o Rosji i o podlegających jej krajach przybrzeżnych"[2]).

Pogląd ten nie uległ od czasu napisania książki „Mein Kampf" przedawnieniu. Dowodzi tego całokształt polityki Trzeciej Rzeszy, szereg późniejszych enuncjacyj, a między niemi niedawne przemówienie Rosenberga, wygłoszone wobec przedstawicieli dyplomacji i prasy zagranicznej na temat: „Czego oczekujemy od narodowo-socjalistycznego polityka zagranicznego[3]). Rosenberg musi być uważany za jednego z najlepiej poinformowanych i najbardziej wpływowych ideologów narodowego socjalizmu. Otóż we wspomnianem przemówieniu Rosenberg, rozwodząc się nad głodem przestrzeni, czyni zno-

[1]) Adolf Hitler „Mein Kampf" str. 742.
[2]) Adolf Hitler „Mein Kampf" str. 742.
[3]) Nationalsozialistische Monatshefte, styczeń 1936, zeszyt 70.

wu aluzję do przestronnych stepów rosyjskich, jako ujścia dla przeludnionej Europy, przedewszystkiem zaś oczywiście Niemiec.

O Polsce w związku z ekspansją wschodnią Trzeciej Rzeszy nie mówi Hitler w książce „Mein Kampf". Tłumaczy się to prawdopodobnie tem, że w ówczesnym stanie rzeczy, jak zresztą i dziś, trudno było mu powziąć jakąś jasną koncepcję rozwiązania piętrzących się na tym odcinku trudności. Do istotnych bowiem doświadczeń hitleryzmu należy przekonanie, że niema co liczyć na krotkotrwałość państwowości polskiej, że trzeba pogodzić się z faktem jej narastania i ten fakt wziąć w polityczną rachubę. Tylko na podłożu tego przeświadczenia możliwe było, patrząc na rzecz od strony niemieckiej, zawarcie polsko-niemieckiego paktu o nieagresji.

Pakt ze stycznia 1934 r. był wyrazem obustronnych tendencyj do znormalizowania stosunków sąsiedzkich. Trzeba jednak podkreślić, że Niemcy chcieliby widzieć w pakcie jeszcze coś więcej, a mianowicie przygotowanie do przyszłego pogodzenia sprzecznych, bo zachodzących częstokroć na siebie kierunków ekspansji Polski i Niemiec, przez odpowiedni rozdział stref zainteresowań. Prasa niemiecka dawała temu wielokrotnie wyraz. Znamienny jest tu szczególnie głos organu partji hitlerowskiej Völkischer Beobachter[4]) z uwagi na to, że nie poprzestaje na stwierdzeniu potrzeby pogodzenia kierunków ekspansji, lecz wprost imputuje Polsce określone stanowisko w tej sprawie. Wywody Völkischer Beobachter ujęte zostały w taki mniejwięcej sposób: Polska, zawierając pakt, wychodziła z dwóch założeń. Pierwsze z nich to podobno świadomość, że główne niebezpieczeństwo dla Polski leży na wschodzie, na rozległej granicy Rosji Sowieckiej. Drugie założenie stanowić ma przekonanie, że misja dziejowa Polski wiedzie ją ku południu — szlak ekspansji polskiej zdąża do Morza Czarnego. Pierwsze z założeń spowodować miało szukanie przez Polskę oparcia w dobrych stosunkach z Niemcami, drugie zaś umożliwić ma podział kierunków ekspansji w ten sposób, że Polska, szukając swej misji politycznej na południu, zrezygnuje z ekspansji bałtyckiej, uznając obszar bałtycki za zastrzeżony dla Niemiec. Wywód powyższy przytaczamy tutaj bez komentarzy, jedynie dla podkreślenia, co stanowi pium desiderium niemców.

Dla zrozumienia całokształtu niemieckiej polityki wschodniej w nowem ujęciu potrzebne jest uwypuklenie jednego jeszcze momentu. Polityka ta niekoniecznie i nie wszędzie zmierza do bezwzględnego inkorporowania, włączania nowych ziem na Wschodzie do państwa niemieckiego. Hitler podkreśla między innemi: „Naszem zadaniem, misją ruchu narodowo-socjalistycznego, jest jednak przekonanie własnego narodu do takiego poglądu politycznego, ażeby spełnienie swojego celu przyszłościowego widział, nie w ożywiającem go wyobrażeniu nowego pochodu Aleksandra Wielkiego, lecz raczej w mrówczej pracy niemieckiego pługa, któremu miecz ma tylko dać teren"[5]). Nie możemy mieć żadnej wątpliwości co do tego, że pochód niemiecki na Wschód nie będzie miał tylko charakteru kulturalnego przenikania. Mówi się przecież o mieczu, który ma niemieckiemu pługowi dostarczyć roli.

Idzie tu jednak o rzecz inną. Ta nowa orjentacja wschodnia kładzie nacisk nie tyle na natychmiastowe włączenie nowych terenów do jednolitego państwa niemieckiego, ile na zagadnienie wpływów politycznych, stopniowo gruntujących się i poszerzających. I tu powstała cała nowa teorja niemieckiej wschodniej polityki federalistycznej.

Na konieczność zainicjowania federalistycznej polityki niemieckiej na Wschodzie zwraca uwagę Fryderyk Schinkel w książce p. t. „Polen, Preussen und Deutschland", wydanej wprawdzie już w roku 1931[6]), niemniej chętnie cytowanej przez sfery narodowo-socjalistyczne Trzeciej Rzeszy. Coprawda Schinkel dochodzi tam do nieco anachronicznej jak na dzisiejszy stan oziębienia stosunków niemiecko-rosyjskich tezy o konieczności równoczesnego wystąpienia z polityką federalistyczną Niemiec i Rosji. Myśl o polityce federacyjnej na Wschodzie podjął w książce „Osteuropa und Deutscher Osten", wydanej w r. 1934, Otto Hoetzsch[7]), świeżo zaś została ona uzupełniona przez próbę stworzenia nowej konstelacji politycznej w Europie środkowo - wschodniej.

Geopolityka niemiecka, nauka stworzona przez Niemców swego czasu dla celów propagandy rewizjonistycznej, co do której pretensyj naukowych istnieją zresztą poważne zastrzeżenia, stworzyła tu nowe pojęcie, pojęcie „Ostmitteleuropäischer Raum". Pojęcie to obejmuje tak często dziś omawianą Europę środkową, skupioną w tak zwanym basenie naddunajskim oraz część Europy wschodniej, do której zaliczyć należy przedewszystkiem Polskę, państwa bałtyckie, ew. także Ukrainę. Otóż Niemcy usiłują w ostatnim czasie wykazać, że tak pojęta Europa środkowo-wschodnia jest jednością geopolityczną. Wyciągając z tego faktu konsekwencje, powinny państwa zainteresowane w powstaniu tego bloku stworzyć własną konstelację polityczną. Przodujące stanowisko Niemiec w tym nowym bloku państw nie jest oczywiście ukrywane.

W walce o tego rodzaju przyszły ustrój Europy środkowo-wschodniej dużą uwagę zwraca się na przeciwstawienie się koncepcjom odmiennym. Na łamach „Volk und Reich", miesięcznika niemieckiego, poświęconego problemom niemieckiej polityki zagranicznej, w znacznej zaś mierze zagadnieniom polityki wschodniej, toczono ostatnio zawzięte boje z koncepcją gospodarczego i politycznego zjednoczenia Europy środkowej, ograniczonej do tak zwanego basenu naddunajskiego, pod egidą Francji. W szeregu kolejnych artykułów dowodzi się tam, że Europa środkowa przy Francji, a bez Niemiec, jest nonsensem geopolitycznym[8]).

Widzimy więc, z jak żelazną konsekwencją wyciągnięto wszystkie wnioski z doktryny „Drangu nach Osten". Przemyślany jest nietylko cel ekspansji wschodniej Niemiec, ale i metoda osiągania wpływów politycznych na Wschodzie. Niczem bowiem innem, jak właśnie metodą jest pomysł wykrystalizowania nowego bloku państw Europy środkowej i wschodniej pod egidą Niemiec.

Reasumując obecnie elementy „Drangu nach Osten" w ujęciu narodowo - socjalistycznem, musimy je wymienić w następującej kolejności:

1) zyskanie nowych przestrzeni dla rozrosłego nadmiernie narodu niemieckiego w państwach bałtyckich oraz północno - zachodniej Rosji, czyli pochód szlakiem, wytyczonym przez Krzyżaków i Joanitów,

2) podział kierunków ekspansji Polski i Niemiec w ten sposób, aby Polska zwróciła się ku południu, rezygnując z umacniania swoich pozycyj nad Bałtykiem,

3) wypracowanie dominującej pozycji politycznej w Europie wschodniej przez stworzenie bloku państw Europy centralnej i wschodniej pod przywództwem Niemiec.

Ujmując w jednem zdaniu istotę orjentacji wschodniej Niemiec hitlerowskich, możemy powiedzieć, że stanowi ona rekapitulację wielowiekowego rozwoju i narastania doktryny „Drangu nach Osten". W trzonie swym zasadniczym nawraca ona do misji Zakonu Krzyżackiego, co kanclerz Hitler podkreśla dosadnie w cytowanym wyżej wywodzie z książki „Mein Kampf", mówiąc: „nawiązujemy do tego momentu, w którym zatrzymano się przed sześciuset laty". I trudność polega jedynie na znalezieniu dróg realizacji.

[4]) Volkischer Beobachter Nr. 304.

[5]) Adolf Hitler „Mein Kampf" str. 743.

[6]) Fr. Schinkel „Polen, Preussen und Deutschland" Wrocław, 1931. str. 255 i nast.

[7]) Otto Hoetzsch „Osteuropa und Deutsche Osten", Berlin, 1934. str. 426 i nast.

[8]) Volk un Reich, luty 1936. Nr. 2.

Po wypadkach krakowskich

Żyjemy w twardej epoce historji. Jednym ze znamion tej epoki jest fakt, że karty jej są często krwią zbroczone. Jest to symptom nietylko smutny, jest to symptom niebezpieczny. Zobojętnienie na krew należy do tych zjawisk w życiu społeczeństw, za które płaci się w następstwie ceny nieraz najwyższe.

Nie chcemy, bo nie możemy wydawać sądu o przebiegu wydarzeń krakowskich. Są jednak w całości tej sprawy punkty, które muszą wywoływać zaniepokojenie. Nie można dzisiaj w Polsce nie doceniać najważniejszej strony, strony społecznej, naszej sytuacji gospodarczej. Nie można lekceważyć zagadnienia nędzy, zagadnienia nastrojów ludzi, którzy „kryzys gospodarczy" przeżywają nie jako zawiłość ekonomiczną, ale jako bezpośrednią groźbę dla podstaw swej i tak już bardzo ciężkiej egzystencji.

Nie chcemy, bo nie możemy analizować bliżej wypadków krakowskich. W każdym jednak razie powinny one być ostrzeżeniem, że sprawy socjalne wymagają w Polsce dzisiejszej wyjątkowej troskliwości w sposobie załatwiania. Nawet jeśli ktoś chciałby zlekceważyć moment troski humanitarnej, nie powinien, nie może — zwłaszcza jeśli ponosi odpowiedzialność za określony wycinek spraw państwowych — zlekceważyć burzącej, niszczycielskiej siły, jaką może mieć w sobie nędza ludzka. W przeciwnym razie łatwo już o posiew krwi, który rzadko kiedy może mieć dodatnie dla Państwa owoce.

Nie chcemy, bo nie możemy wydawać sądu o sprawie krakowskiej. Wydaje nam się jednak, że sprawa ta nie może pozostać bez konsekwencyj, trzeba, aby była ona ostrzeżeniem, że nie można lekceważyć wydarzeń, które są więcej, niżeli bolesne, które są w skutkach swych groźne i niebezpieczne.

„Idea Polski"

Przed kilkoma miesiącami ukazała się praca Władysława Grabskiego, poświęcona zagadnieniu kryzysu ideowego w Polsce, nagół przemilczana przez całą niemal prasę wszelkich odcieni. Jest to głęboko zakorzeniony zwyczaj przemilczania wszystkiego, co jest niewygodne, co zmusza albo do przyznania się do błędów, albo uderza w zakorzenione nałogi, jeśli za rzuconemi myślami nie idzie jakaś konkretna siła, która może zmusić do liczenia się z temi opinjami. Zainteresowanie ideami, których siła polega jedynie na ich wartości moralnej i intelektualnej — nie jest łatwo u nas wybworzyć, zwłaszcza w ośrodkach, mających pretensję do kształtowania i wyrażania opinji publicznej. Pomiędzy światem myśli a światem działań wiązania są bardzo słabe i skutkiem tego nurt naszego życia publicznego jest płytki, a porozumienie się jest trudno osiągnąć.

Autor wychodzi z założenia, że zgon Marszałka Piłsudskiego jest momentem zwrotnym w naszych dziejach. Marsz. Piłsudski był dotychczas siłą dynamiczną Polski — obecnie muszą nią się stać siły zbiorowe Polski. Warunki zewnętrzne i wewnętrzne, w jakich się Polska znajduje, powinny spowodować zawieszenie wzajemnych walk politycznych i stworzyć podstawy do koncentracji sił w celu wewnętrznego wzmocnienia Państwa. Autor nie widzi innego sposobu rozwiązania, jak zjednoczenie na gruncie idei państwowej tych wszystkich, którzy tę ideę istotnie stawiają ponad wszystko. Tym zaś, którzy za wyższe pojęcie od państwa uważają naród lub lud — Wł. Grabski odpowiada, że mogą pozostać przy swoich poglądach, ale muszą zrozumieć, że bez siły i niezależności Państwa ich ideały nie mogą być zrealizowane. „Idea państwowa polska wymaga — pisze autor — by Państwo Polskie nie było tylko aparatem biurokratycznym, rządzącym społeczeństwem, by nie było ośrodkiem nowego przywileju stanowego, nielicznej grupy, lecz by zespoliło się z najlepszemi siłami społeczeństwa, wydobywając na wierzch jego uzdolnienia, szanując je i potęgując". Nadanie Państwu charakteru społecznego wymaga zejścia na grunt ludowy, przez co autor rozumie warstwy robotnicze miejskie i wiejskie. Idea państwowa polska powinna być złączona z ideą ludową.

Wskazania swoje poprzedza Wł. Grabski ogólną charakterystyką dziejowego znaczenia dla Polski Marsz. Piłsudskiego, oraz kierunków działań politycznych, które określa, jako idee: Polski legjonowej, Niepodległości Polski, stanowej Polski ziemiańskiej, narodowej, ludowej, i państwowej. Nie ze wszystkiemi uwagami autora można się zgodzić, chociaż ze wszystkich przejawia się tendencja do możliwie objektywnej oceny. Niektóre zarzuty pod adresem rządów ostatnich lat pochodzą z powodu oceny z zewnątrz, bez ponoszenia bezpośredniej odpowiedzialności za wykonywane prace. Punktem wyjścia rządów obozu Marsz. Piłsudskiego w 1926 r. było dążenie do nawiązania stosunków z opinją publiczną i ruchami gospodarczo-społecznemi. W miarę tego, jak się to okazywało niewykonalne, jak wzrastały tendencje do reaktywowania stosunków politycznych przed przewrotem w 1926 r. środki postępowania się zaostrzały, a oparcia w opinji zaczęto szukać w elementach niepodległościowych i kombatanckich, niewchodzących w orbitę ruchów politycznych, w dalszym ciągu zaś, kiedy to było niewystarczające, na różnych grupach często dobieranych przypadkowo, bez selekcji. Ta ewolucja stosunków, nienajlepsza jak się okazało, niemająca w całości cech trwałości, była — wydaje się — konieczna i okazała się o tyle korzystna, że pozwoliła na zahamowanie wewnętrznego rozstroju i wykonanie wielu zadań, które również Wł. Grabski ocenia jako dodatnie.

Natomiast bardzo trafną charakterystykę i ocenę stosuje autor do t. zw. idei ziemiańskiej, słusznie, choć zbyt generalnie, zarzuca, że idea legjonowa zaczęły wykazywać ostatnio pewne cechy eksluzywne i uległa wpływom idej ziemiańskich, bardzo trafnej krytyce poddaje ideę narodową, która okazała swój brak poczucia rzeczywistości w sprawach polityki zewnętrznej i wewnętrznej, skutkiem czego jest w stanie silnego kryzysu, słusznie podkreśla niedomagania idei ludowej, pełnej wewnętrznych konfliktów i t. p. Całość obrazu nakreślonego przez Wł. Grabskiego w dziedzinie ideowej wyraża się w poglądzie, że obok kryzysu gospodarczego przechodzimy niemniej głęboki, a niebezpieczniejszy, kryzys ideowy. Uzasadnia to przekonanie, że podstawowe braki w naszej świadomości nie miały tak ujemnych rezultatów w stosunkach państwowych tylko dzięki wyjątkowej roli, jaką w Polsce Niepodległej, miała praca i idea motoryczna, reprezentowana przez Marsz. Piłsudskiego. Tem większa przeto spadła na nas odpowiedzialność. Poczucie tej odpowiedzialności i konieczność poddania gruntownej rewizji naszego stosunku do potrzeb Państwa zaczyna się coraz bardziej budzić. Książka Wł. Grabskiego niewątpliwie przyczyni się do szybkiego zrozumienia tych ciężarów, a dobre zdanie sobie sprawy z naszych niedomagań i odpowiedzialności będzie krokiem naprzód do znalezienia właściwego kierunku myśli i działań. Nie oznacza to jednak, aby stworzenie „wizji Polski" było łatwem. Do tego potrzebne jest dobre wżycie się w potrzeby Państwa oraz opanowanie nabytych nałogów i uprzedzeń.

St. S.

*) *Władysław Grabski:* „Idea Polski". Warszawa, 1935 r. Skład główny w Domu Książki Polskiej, str. 190.

Słowackie porachunki powyborcze

Zeszłoroczny sojusz wyborczy autonomistycznego stronnictwa katolicko-ludowego ks. Hlinki z partją narodowo-słowacką pastora Razusa nie miał być tylko takim sobie przedwyborczym manewrem, obliczonym na zawiłą matematykę dzielników wyborczych. Wszak do wzajemnego zbliżenia parto już oddawna z obydwu stron, od czasu słynnych wyborów w „Maticy", przez zwoleński zjazd, gdzie późną jesienią 1932 r. tłumy „hlinkowców" i „razusowców" gorąco manifestowały swą wolę stworzenia autonomistycznego wspólnego frontu, przez okres represyj i aresztowań na jesień 1933, przez wspólną — ramię w ramię — walkę z deszczem konfiskat i prześladowań.

Ukoronowaniem tego zbliżenia miał być autonomistyczny blok wyborczy. Nie ograniczał się on zresztą do Razusa i Hlinki. Weszli do niego i Polacy z Cieszyńskiego i autonomiści karpatoruscy. Chciano doń wciągnąć i część opozycji czeskiej, aby wytworzyć blok „słowiańskiej opozycji".

Przeciw temu blokowi część „Narodnej Strany" Razusa usiłowała wytworzyć frondę, której organem były bratysławskie „Slovenske Narodne Noviny". Powstanie i dzieje początkowe tej frondy omówiłem już gdzieindziej. Wybory z wiosny zeszłego roku nie przyniosły zresztą tej frondzie spodziewanego sukcesu. Ale nie przyniosły zwycięstwa i zblokowanym stronnictwom autonomistycznym, które zatrzymały tylko poprzedni stan posiadania. Rychło też po wyborach rozpoczęły się między dwoma największemi zblokowanemi ugrupowaniami drobne kwasy i tarcia. Do wyborów gminnych partja Razusa poszła już osobno. Wkrótce zaczęto sobie, wpierw delikatnie, potem coraz wyraźniej wypominać niedotrzymanie umów przedwyborczych. A równocześnie w miarę, jak między Hlinką a Razusem zaczęły zarysowywać się pierwsze różnice, następowało zbliżenie „Slovenskej Narodnej Strany" z tak wyklętemi poprzednio, rozłamowcami ze „Slovenskych Narodnich Novin". Ale do rozejścia formalnego nie doszło.

Aż wreszcie bomba pękła. Z parlamentarnego klubu stronnictwa ks. Hlinki, którego był hospitantem, zgłosił nagle Razus swoje wystąpienie. Było to na początku bieżącego roku. Równocześnie przeniesiono sekretarjat stronnictwa i organ Razusa „Narodne Noviny" z św. Marcina do Bratysławy, a redakcję przeniesionego organu objął nie kto inny jak... redaktor uprzednio (1lutego 1936) zwiniętych, rozłamowych „Slovenskych Narodnich Novin", dr. Pauliny-Toth.

Ludacy śledzili ten rozwój faktów z nietajonem zaniepokojeniem. Jeszcze wpierw mieli nadzieję, że osoba Razusa będzie gwarancją dotychczasowej linji stronnictwa. Liczyli i na wiceprezesa partji dr. Vanczo. Ale były to złudzenia. Początek lutego przyniósł dymisję dr. Vanczo, na którego opróżnione stanowisko powołany został ni mniej, ni więcej tylko... główny twórca zeszłorocznego bratysławskiego rozłamu Milan Daxner. A na niepokojem o los stronnictwa przepojoną notatkę głównego organu hlinkowców „Slovaka" odpowiedział Razus zarzutem nielojalności.

Kości były więc rzucone, przyszło rozejście się dróg, koniec 3-letniej idylli. Nikt nie mógł już teraz bronić obu stronom wypowiedzenia tego wszystkiego, co im leżało na sercu, nikt nie bronił wczorajszym sprzymierzeńcom sypnąć otwartych, a ostrych *verba veritatis*. Hlinkowcy wypomnieli Razusowcom całą ich powojenną przeszłość: i sojusze z agrarjuszami w r. 1920, z „lidakami" Miczury w r. 1925, czy z Kramarzowcami (endekami czeskiemi) w r. 1929, i brak zdecydowania, i ociężałość, i nietajoną niechęć do młodszego, ale prężniejszego katolickiego rywala. Teraz już mogli powiedzieć sobie wszystko.

W rezultacie klub ks. Hlinki zmniejszył się o paru „narodniarów". Poprzednio już wystąpił z niego przedstawiciel karpatoruskich autonomistów. W klubie, oprócz Słowaków, został jeszcze Polak, dr. Wolf, co nie jest pozbawione specjalnej wymowy.

Te powyborcze rozrachunki nie pozostały zresztą bez wpływu na innych terenach. Odbiły się echem i w pewnych tarciach w „Maticy". Większość jednak kraju pozostała bez specjalnego rezonansu. Wszak przełom lutego i marca wykazał, że poza takiemi czy innemi rozgrywkami stronnictw politycznych, dzieją się w kraju inne, głębokie przemiany. Strajk 7.000 robotników leśnych w Górnym Hronie, poparty przez wszystkie centrale związków zawodowych i przez nie zwycięsko przeprowadzony — to tylko jeden tego przykład. Być może, że czas najbliższy przyniesie ich więcej.

J. R.

Dr. Kazimierz Kosiński

Stanisław Długosz

Z żołnierskich kart poezji

Kiedy Polska w XVIII wieku przestała istnieć politycznie, nie przewidywali zaborcy, że jej upadek stanowić będzie fakt o spontanicznej sile moralnej. Jakoż istotnie państwo, istniejące od tysiąca lat, nie mogło upaść bez wstrząsu dusz. Wstrząs był nawet tak wielki, że nieodrazu dał się był słyszeć echem poza duszami. Pozornie zdawaćby się nawet mogło, że faktu rozbioru Polski nie dostrzegła literatura polska ówczesna. Wiemy jednakże z całego ciągu dziejów porozbiorowych, że idea niepodległości była osią, około której obracała się polska myśl i energja twórcza, nietylko wysiłek stanu, ale przedewszystkiem sztuka. W literaturze, począwszy od Czartoryskiego i Woronicza, wróżyła się wizja zmartwychwstania Polski, narzucała się duszom jej apoteoza obok nieuniknionej również krytyki, niekiedy bolesnej i druzgocącej. Zrazu przeważała tu apoteoza Polski niepodległej, w miarę jednak posuwania się w wieku XIX potężniała i poważniała krytyka, która osiągnęła swoje maksimum po r. 1863. Niezależnie od tego znaczyła się dawna Polska wizją, która zachwytywała dusze w przeszłość i mówiła do pokoleń porozbiorowych legendą rycerską narodu i szeregiem postaci wielkich, świecących swoją wiekową sławą w czasie narodowej nocy. Wizja ta w całym uroku dawności narzuciła się duszom zwłaszcza po powstaniu styczniowem, niezależnie od wyrozumowanej krytyki historycznej, która to krytyka była w znacznej mierze również wyrazem bólu patrjotycznego. Wizję tę przed oczyma dusz postawił przedewszystkiem Matejko, skąd przeniosła się potem do powieści historycznej w literaturze. Tak czy inaczej, wizję dawnej, niepodległej Polski tworzyli pisarze, uczeni, malarze, słowem „umiejętnicy", jakby ich nazwał Norwid, którzy wybiegali też myślą w przyszłość, do Polski nowej, umieli nadto poddać analizie współczesność i wydobyć z niej krzyk pokolenia, jak Wyspiański. W tem wszystkiem brakowało natomiast widzenia nieuniknionej twardej walki o niepodległość, która, zdawało się, sama zstąpi na ziemię polską z nieba, gdy ją tam dostatecznie na złotej psalmów wstędze wyśpiewają anieli. Brakowało tu wizji wojny polskiej z nieuniknioną jej niedolą i śmiercią. Brakowało tu wizji prostego żołnierza polskiego, którą snuli pod koniec lat niewoli nie tamci, twórcy, lecz prości, mali i cisi ludzie, którzy też niebawem pierwsi usłyszą wołanie. Było to pokolenie młode, ostatnie, które zaznaczyło się już w roku 1905; wojna o niepodległość dawała mu się czuć w swej wyrazistości i przeżywać do szczegółów w wyobraźni i nieposkromionej niczem tęsknocie. I oto stajemy przy postaci Stanisława Długosza.

Życie jego było krótkie. Urodził się 22 marca 1891 roku w Częstochowie, zginął pod Kamionką w Lubelskiem 6 sierpnia 1915 r. Kształcił się w gimnazjum Chrzanowskiego w Warszawie, gdzie po r. 1905 zawiązywał kółka samokształcenia i należał do tajnych organizacyj młodzieży narodowej z nieuniknionem wówczas, wcześniej czy później, więzieniem. W r. 1909 wstępuje na Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, gdzie studjuje historję i prawo. Bierze tam żywy i bezpośredni udział w życiu akademickiem, pracuje w Zarzewiu i Zniczu, wstępuje do organizacji wojskowej Drużyn Strzeleckich. Z chwilą wybuchu wojny dostaje się do Legjonów i bierze udział w pierwszych bitwach pod Kielcami, a potem, jako podporucznik Jerzy Tetera, we wszystkich walkach pierwszej brygady do początków sierpnia następnego roku. Wtedy wykończyło się jego życie śmiercią, o jaką modlił się był Mickiewicz, w **Księgach Pielgrzymstwa.** Wypełnił się nad nim los w młodocianym wieku, mimo to jednak Długosz jest jednym z tych, których się śmierć nie ima. Należał do wyjątkowego w Polsce pokolenia ludzi, stworzonych dla określonego czynu, którym już doba dziejowa przynosi program działania. Cechuje ich całość duszy, bez rozdwojenia uczuć, żyją wyłącznie ideą i niema w nich melancholji. Przeżywają swoje bohaterstwo w duszy na szereg lat przed wystąpieniem faktycznem w polu, przeżywają sen czynu na lata przedtem, zanim się w czynie swym rozpłomienią. Żyją pewnością przyszłych wypadków i następnych lat, zanim te przyjdą w istocie. Jeśli niektórzy z nich byli poetami, to byli poetami wojny, gdy byli historykami, badali historję walk o niepodległość, jeśli zaś mieli kult dla człowieka i szukali dla siebie patrona w przeszłości, to widzieli go w Maurycym Mochnackim, który dla tego pokolenia był pożarem, pochodnią, zarzewiem i łzą nad bezdziejowością polską, który ich na wyłom popychał i wstydził za ogół.

Takim żołnierzem w przeczuciu i wyobraźni na kilka lat przed wojną był Stanisław Długosz. Był też poetą z tego pokolenia, które wojnę chciało „rozdzwonić wyrazami, na twarzy ją pokazać, popchnąć serca biciem", aby ją potem zakończyć życiem, gdy stała się rzeczywistością dziejową, gdy stała się **Złotym czasem.** Długosz wojnę widział oczyma duszy już w r. 1909, gdy jako 18-letni młodzieniec wołał:

> Naprzód! śmierć patrzy nam w oczy,
> sztandar się krwawi nad głową.
> Naprzód! Jak w taniec ochoczy
> idziem w kurzawę bojową...

i dodawał, że „w oddali już dnieje".

Ta jego młodzieńcza poezja wojny, widzianej oczyma duszy w przeczuciu, obraca się około kilku motywów stałych: niedalekiego **świtu** nowych dziejów polskich, twardej, w granitach wykutej **drogi** żołnierskiego życia, złocistego blasku **zorzy** obok **śmierci** przy motywie **gotowości** do **walki** bez wahań, bez getsemańskiej szarpaniny ducha. Nad tem wszystkiem ciążyło, jako osobne zagadnienie, **Słowo,** którego szukał dla siebie i Polski. Nadewszystko dźwięczy tu jednak żądza polskiego czynu wyzwoleńczego w pełni ofiary bez obawy śmierci. Czyn i śmierć mieszały się tu nawzajem ze sobą, w poczuciu odpowiedzialności za hasła i dreszcze duszy:

> ...trzeba pieczętować krwią,
> co się kiedyś wyszeptało skrycie...

pisał w r. 1911, dowodząc, że nie jest zawcześnie na ruch niepodległościowy polski, na **Wici,** ponieważ

> nie wybuchnie nigdy płomień-Czyn,
> jeśli wiecznie czujne Pogotowie
> na gwałt nowy buntem nie odpowie
> i nie wyjdzie na świat z tajnych min.

Woła wtedy młodociany poeta do ogółu:

> My wam słowo powiemy o wiośnie...

szlak jednakże, po którym pójdą, nazywa „beznadziejnym" w niezaprzeczonym swoim smutku duszy... Ale bo też walczy z przekonaniem ogółu, który ich za straceńców uważał, gdy on miał dumę w sobie przyszłego żołnierza zmartwychwstającej Polski i czuł się jednym z apostołów Sprawy, jakby uczestnikiem Legjonu Mickiewicza... Cechuje go nadto od samego początku pewność zwycięstwa obok gotowości do walki. Ta jego wiara, im bliżej było wybuchu wojny, stawała się coraz mocniejszą i natarczywszą i coraz bardziej ufną. Dłużył mu się czas w oczekiwaniu na wybuch wypadków, wojna bowiem była dla niego pewnością nieuniknioną w dziejach:

> Policzone za i przeciw względy;
> szlak do świtu już znaczy się jasno

powiada w wierszu **Dojść musimy** w r. 1912, ale dodaje przytem:

> Szkoda tylko, że jeszcze noc głucha,
> że śpią chaty otulone w ciszę...
> Dojść musimy koniecznie do mety
> i chorągiew rozwinąć...
> Niech krew nasza spadnie gromów mową
> i obudzi legjony drzemiące,
> niech powstaną, niech sięgną po Słońce,
> niech powiedzą zapomniane **Słowo,**

którem jest wolność narodu, którem jest wojna, niewidziana już od pokoleń. To jego **Słowo** polskie wyraża tęsknotę do bujnego życia, któreby mogło wzlecieć nad poziomy, aby następnie ów „słoneczny lot" mógł opaść na ziemię i z gruntu ją przeinaczyć „siłami rozbudzonemi" (w. **Zwątpienie.**).

I jeszcze jedno: wobec tych wielkich pragnień duszy sama przez się rozumie się odwaga człowieka, który nie ulęknie się kar i sądu, słysząc zawczasu tętno ziemi i grom z oddali. Taki człowiek ma swoją wewnętrzną wizję, którą przeżywa w duszy jak rzeczywistość.

Wizja wojny personifikuje się u Długosza zawczasu w postaci rycerza, który jedzie

> ...nie w srebrze ni złocie,
> ino w swojej śmiertelnej tęsknocie,
> ino w swojem wieczystem czekaniu
> i w jedynej myśli — o świtaniu.
> (w. **Jedzie rycerz** — 1913 r.).

Ten jego rycerz „w zbroicy z czarnych blach" ma w sobie coś z Zawiszy Czarnego czy z rycerzy Graala w tęsknocie za Monsalwatem, ma w sobie coś z mickiewiczowskiego Farysa w nieukojonej tęsknocie pragnień i nieustannem dążeniu naprzód, w poszukiwaniu skarbu na „szklanej górze". Owym skarbem rycerza jest Polska i tylko Polska, odrodzona po latach niewoli. Droga do Polski prowadzi przez szczyty, gdzie wieją wichry niełas-

kawe i mroźne, ale z tych szczytów widoczne jest słońce, które na nizinach przesłania mgła.

Dalej. Rycerz Długosza, bezimienny w swojej tęsknocie żołnierskiej, otula się płaszczem polskiej legendy bojowej i wciela się w historyczne postacie z wieku niewoli, staje się ułanem z 1831 r., jak na obrazie Kossaka, Czachowskim, Romanowskim, ks. Józefem Poniatowskim, Maurycym Mochnackim. Widzimy tu wszędzie kult dla bohaterskiej śmierci za ojczyznę, zdecydowanej i mocnej woli zwycięstwa bez wahania i strachu w obliczu śmierci. Ale też Romanowski, kiedy

Na mchów pościel pod kulami legł,
krwią się wokół zaróżowił śnieg;
a odarli go docna z odzieży,
zostawując tylko w ręce broń...
Jak w królewskim sarkofagu leży.
I samotny czeka w swojem pięknie,
Kiedy młode przy nim życie klęknie
i ozdobi czynem jego skroń...

Jego Czachowski upodabnia się do umierającego hetmana Czarnieckiego w otoczeniu żołnierzy, których musiał rozsypać w lasach wąchockich. Jego ks. Józef staje się rycerzem honoru, który narodowi przekazał. Ale też potem, przez jego śmierć ofiarną i honor, jak mówi Długosz o ks. Józefie,

Będzie w Polsce od tej duszy jasno...

Najbliższą sercu była mu epopea 1863 r. z nieporównanem bohaterstwem jednostek, przed którem korzył się w duchu. Z drugiej strony narzucał się tu sam przez się porachunek z narodem, z jego przeszłością i teraźniejszością. Dla **tamtych** miał kult, ale dla współczesnych satyrę, gdy tamtych rycerzami nazywał, **współcześni** byli dlań niewolnikami. Tamci byli

przejaśni, ogromni,
złotych świtów szaleni prorocy,
obłąkani tajoną rozpaczą...

Polak współczesny był niewolnikiem, do którego mówi poeta:

...Za wspomnieniem goń
i wypatruj znikające cienie,
i nie dozwól, by znikli w wichurze
ci ostatni wolnej Polski stróże...
aby we krwi unurzany Znak
miał pójść kiedyś na marne, na marne
w zapomniane zacisza cmentarne...
(w. **Rycerzom i niewolnikom** — 1913 r.).

Cała ta przeszłość ogromna w swojej rycerskiej sławie i w uroku legendy staje się dla niego wizją, która, jako powieść polska, snuła mu się przez wieki. W tym porachunku z narodem Długosz uwielbiał przeszłość, z którą kłóciła się dola porozbiorowa. W wierszu p. t. **Po jutro** pisanym w r. 1911, przeciwstawia autor ową przeszłość rycerską narodu, jego współczesności, która jest tylko nędzą, gdy tam, przeciwnie, były piękne sny.

W dziejowej zmroczonej oddali
rozszalały pęd
skrzydlatych hussarzy koni —
przez pustkę echo goni...

Całe **Wczoraj** narodu, to jedynie

...bój,
pochrzęsty stalowych zbrój,
niepowstrzymane loty do gwiazd,

kiedy, przeciwnie, **Dzisiaj**, to jedynie

Gnicie w uścisku pęt,
powolne w pustce gnicie,
zamierające życie...
...popioły,
gmach w zgliszczach, gruz
i hańba gniazd
i z czarną trumną wóz
i miód na stypie wesołej...

Jak mówi autor wiersza dalej:

Dziś skrzydeł hussarskich łopoty
słyszymy w snach.
W zdarty przez wieki łach,
co skrzydeł bary olbrzymie
w męczeńskie, święte imię
stroimy śmieszną Nędzę
i śnimy o potędze,
jak ci mocarze ogromni,
my — ludzie bezdomni...

co przypomina Dziennikarza z **Wesela**.

Z tego wszystkiego widzimy jedno: że owo pragnienie wojny polskiej o niepodległość wynikało u Długosza z samej jego iścizny duszy, że było jej organiczną potrzebą, psychologiczną koniecznością, nie zapatrzeniem się na przykład drugich, nie narzuceniem mu jej przez program polityczny taki czy inny, bowiem jednostka o tej strukturze duszy dławiła się osobiście niewolą i żyła w męce ducha, z której wyjściem była jedynie wojna. Dla takiej wojny może mieć taki żołnierz czarowny uśmiech miłosny już od dzieciństwa, które taka wojna w zaraniu złociła zorzą.

Nie byłoby jednak życie życiem, ani też człowiek człowiekiem, gdyby za upragnione sny, za ideały nie zapłacił dolą swoją do końca. Podobnie i nasz bohater za wymarzoną wojnę polską musiał zapłacić życiem, jakoż od zarania, równolegle do „snu o szpadzie" przewijał się u niego sen o śmierci. Długosz ma od początku świadomość swojej śmierci na wojnie, swojej ofiary z młodego życia. Myśli o śmierci stają się jego zadumą bolesną, stają się smutkiem lirycznym duszy pośrodku marzeń o potędze Polski. Co do siebie mówi teraz autor tak:

Spełniłeś swoje — odejdź w dal,
w zmroczoną dal bez słońca.
Orałeś ciężko... pójdzie żal,
popłynie łza gorąca...

W tych lirykach śmierci dźwięczy nadewszystko żal za młodo utraconem życiem.

Te jego liryki śmierci są od początku do końca bezbrzeżnie smutne. Jego umierający młody żołnierz na kilka lat przed wojną staje się Prometeuszem w pyle drogowym, żołnierzem, który umarł

zanim błysły ogniste promienie,

którego pochłonęła cisza śmierci

zanim blaski swe zorza roztoczy.

Ale ten młody Prometeusz - żołnierz odpowiada na żal swój własny i innych:

W pole wiódł mnie obowiązek święty,
wzięty jeszcze w dzieciństwie na bary,
chęć złożenia z krwi młodej ofiary
w zabagnione życiowe odmęty...

Ten umierający Prometeusz - żołnierz stawał się też jednym z apostołów Sprawy, zaprzedanych jej na śmierć i życie, jak w owej barce śmierci Mickiewicza w Legjonie Wyspiańskiego, skąd nie było powrotu do życia przed końcem zawieruchy dziejowej, z pośród odmętu fal na oceanie wzburzonym historji. W tem miejscu słowa poety stają się wyznaniem wiary i ślubowaniem w głębi przepastnej prawdy wewnętrznej:

Walką bolesną znużone,
poświęcam Ci serce, Sprawo!
W daleką odchodzę stronę,
by pieczęć położyć krwawą...
Tęsknica płynie skryta
śladem gwiazdowych kół,
a młode życie okwita,
stacza się ciało w dół...
(w. **Poświęcenie** — r. 1912).

Albo wiersz inny: (**Głos przeznaczenia — 1913 r.**):

Wybieram się w jakąś drogę
i ciągle coś mnie woła;
ogłuchnąć na echo nie mogę,
ni spędzić troski z czoła.

albo (w. **Na bezdrożu**, jeden z wczesnych):

Grajek niedoli szedł przez pole
— Wicher skrzydłami smagał, siekł —
niósł w sercu ludzkie smutki, bole,
z sił się wyczerpał i w rozdole,
znużony walką z wichrem, zległ.

(d. n.)

„Wszystko, co żyje, umiera, a wszystko, co umiera, żyło przedtem". Prawa śmierci są bezwzględne. Są jakgdyby stwierdzić chciały prawdę, że co z prochu powstało, w proch się obraca. Gdy kamień na taflę spokojnej wody rzucamy, powstają kręgi, idące wszerz i zamierające powoli. Tak żyją ludzie, gdy śmierci bramy przepastne przekroczą; kręgi powoli zamierają i nikną, pozostawiając po sobie pustotę, a nawet zapomnienie. Prawa śmierci i prawa życia, związane ze sobą, są bezwzględne i bezlitosne. Żyło ludzi mnóstwo i wszyscy pomarli. Pokolenia za pokoleniami, żyjące codziennem życiem, zwykłem lub niezwykłem, do wieczności przechodzą, pozostawiając po sobie jeno ogólne wspomnienia. Wspomnienia, gdzie imion niema i niema nazwisk. A jednak prawda życia ludzkiego daje nam i inne zjawiska. Są ludzie i są prace ludzkie tak silne i tak potężne, że śmierć przezwyciężają, że żyją i obcują, między nami".

Józef Piłsudski: „Przemówienie na Wawelu" (28.VI. 1927).

Życie prowincji

List z Wielkopolski

Mocne akcenty, jakie znalazły się w ostatniej budżetowej mowie sejmowej Ministra Spraw Wewnętrznych przeciwko Stronnictwu Narodowemu, znalazły silniejszy oddźwięk szczególnie tu u nas w Wielkopolsce i zostały przyjęte niewątpliwie z znaczną ulgą przez ten odłam miejscowego obozu rewolucji majowej, który od szeregu miesięcy przypatruje się z wzrastającą trwogą coraz bardziej postępującemu anarchizowaniu części społeczeństwa — z młodszem pokoleniem na czele — przez jawne czy ukryte sztaby partyjne Stronnictwa Narodowego. Zadowolenie z ministerjalnej zapowiedzi jest jednak tylko częściowe, a uspokojenie dość powierzchowne, bo zdajemy sobie tu sprawę, że wzmożenie represyj policyjno - administracyjnych czy nawet zalecane „uświadamianie" społeczeństwa niewiele pomoże w danych warunkach, ani sił państwowo-twórczych Wielkopolski, do których w minionem dziesięcioleciu tylekroć apelowano, nanowo nie wskrzesi.

Zresztą któż ma się podjąć tej misji uświadamiania na naszym terenie? Czyżby czynniki konjunkturalne ze sfer konserwatywno - ziemiańskich, których wyrazem prasowym jest „Dziennik Poznański"? Czyżby słowa uświadomienia miała nieść cienka w tym terenie warstwa legjonowa, która — mimo że od chwili zorganizowania się jej w Wielkopolsce upłynęło już tyle, tyle lat, mimo że czołowi jej przedstawiciele zajmują z natury rzeczy szereg kierowniczych stanowisk — nie potrafiła zadzierzgnąć mocnych i trwałych więzów szczerej współpracy z miejscowem społeczeństwem, a przeciwnie, społeczeństwo to zrażała niemal systematycznie i celowo do siebie, zwłaszcza każdem publicznem wystąpieniem swojego przywódcy prof. Jakubskiego, który też wyłącznie dlatego — a nie, jakby niektórzy chcieli, z rzekomo wrodzonej animozji Wielkopolski do b. legjonistów — dopracowywał się mozolnie, ilekroć występował na szerszym terenie społecznym, klęski po klęsce — do kompromitującej przegranej przy wyborach senackich włącznie. Czy uświadomienie miałoby wyjść od nielicznej garstki apostatów Stronnictwa Narodowego, skupionych w Związku Młodych Narodowców, w których jeszcze nie tak dawno temu pokładano wielkie nadzieje, a o których dziś niemal zupełnie głucho?

Bo element, który, mimo wszystko, mimo konserwatywną maskę, nałożoną tu w Wielkopolsce w ostatnich latach z woli sztabu warszawskiego Bezpartyjnemu Blokowi, stanowił jego podstawę rekrutacyjną i ideowo najzdrowszy składnik, wyzyskiwany szczególnie w każdej najczarniejszej robocie codziennej — ludzie pracy fizycznej i umysłowej — poszedł z rozkazu Płk. Sławka karnie w rozsypkę.

I tu dochodzimy do sedna najistotniejszej bolączki, trapiącej od chwili likwidacji Bloku Bezpartyjnego demokratyczny odłam obozu pomajowego w Wielkopolsce. Wspominamy tu tylko o tym odłamie — szeroko pojętym, choćby dawniej formalnie pozostawał nawet poza Blokiem — bo cała konserwatywno - konjunkturalna reszta stanowi, jak łatwo domyśleć się można, choćby z tych paru rzuconych powyżej pytań retorycznych, także u nas „quantite négligeable", którą w wszelkich koncepcjach organizowania społeczeństwa na nowych zasadach śmiało pominąć można i trzeba — nietylko zpowodu jej małej liczebności, bezideowości i konjunkturalności, ale przedewszystkiem z powodów natury o wiele bardziej zasadniczej: egoistyczne dążenia tego odłamu dawnego Bezpartyjnego Bloku nie dadzą się w okresie, który nadchodzi, a w którym dokonać się musi przebudowa społeczna Państwa, pogodzić z jej zasadami, najogólniej określonemi w konstytucji kwietniowej („Praca jest podstawą rozwoju i potęgi Rzeczypospolitej").

Oczekujemy więc od ośrodków dyspozycyj politycznych w Państwie hasła zorganizowania społeczeństwa na nowych zasadach... i jak dotąd, doczekać się nie możemy. A tymczasem życie idzie naprzód: z jednej strony wzmożona, nie przebierająca w środkach aktywność Stronnictwa Narodowego, ograniczającego się dziś nawet na naszym terenie niemal wyłącznie do haseł antyżydowskich, z drugiej strony bezsilny w swem rozproszkowaniu obóz pomajowy. A ponad niemi administracja, niezrośnięta z terenem, nie oparta o twórcze elementy w społeczeństwie, z któremi unika raczej głębszego, trwałego, szczerego kontaktu. Administracja ta zdaje się nie widzieć, że jest już ostatnia chwila potemu, aby te siły twórcze nanowo zorganizować, powołać czemprędzej do współpracy. Bo organizację można zwalczyć tylko organizacją, na ofensywę należy odpowiedzieć kontratakiem silnego, zespolonego obozu demokratycznego, w którym musi znaleźć się miejsce tak dla zorganizowanego ruchu zawodowo - robotniczego, jak i dla ruchu zawodowego pracowników umysłowych oraz dla tych niezorganizowanych elementów demokratycznych, które stanowiły kręgosłup Bezpartyjnego Bloku. To są te czynniki, które powinny znaleźć wspólny język porozumienia i które jedynie mogą stanowić podstawę mocno scementowanego jednolitym światopoglądem społeczno - demokratycznym obozu państwowego.

Społeczeństwo wielkopolskie nie powinno się już dłużej oglądać na kunktatorstwo Warszawy, bo z jednej strony sytuacja jest istotnie wyjątkowa i zadania ze względów ogólno - państwowych szczególnie doniosłe, choćby z uwagi na położenie geopolityczne Wielkopolski, w ostatnich czasach jakby niedoceniane. Z drugiej zaś strony właśnie Wielkopolska ma, jak sądzimy, wszelkie dane po temu, wywodzące się z jej tradycyj organizacyjnych w przeszłości, by zapoczątkować o własnych siłach organizowanie społeczeństwa dokoła nowych demokratycznych idej społecznych i pozytywnej pracy dla Państwa. Zresztą nawet okres Bezpartyjnego Bloku wykazałby, jak sądzimy, znacznie większe możliwości organizacyjne właśnie w Wielkopolsce, zawsze dostępnej dla argumentów pozytywnej pracy i pozytywnych zdobyczy reżimu, gdyby nie zasadnicze błędy tak w samych założeniach Bloku i w jego metodach pracy, jak i przedewszystkiem w stosunku administracji do społeczeństwa w tym okresie.

Zatem: *Wielkopolska fara da sé!*

I nie będzie to, jakby znowu interpretować chciano, ani objaw załamania się, czy wyczerpania nerwowego, ani dowód podkreślania odrębności dzielnicowych Wielkopolski: ruch, który się już rodzi, narazie może jeszcze nie wydobyty na wierzch świadomości, ale oczekiwany w najgłębszych tęsknotach najzdrowszej części społeczeństwa, będzie jedynie wyrazem szczerej, prawdziwej troski o należyty stosunek Wielkopolski do całokształtu aktualnych zagadnień i potrzeb Państwa oraz o oparcie rozwoju Państwa o mocny, zwarty, narodowo jednolity, wielki obóz pracy.

Mówiąc o popełnionych w okresie Bezpartyjnego Bloku błędach, wspomnieliśmy już o niewłaściwym stosunku władz administracyjnych do społeczeństwa wielkopolskiego. I to jest drugie najbardziej palące zagadnienie z dziedziny problemów ogólno - politycznych, o którego należyte rozwiązanie woła się w Wielkopolsce dzisiaj i wołało się przez szereg lat. Do tego głosu wołających na puszczy przyzwyczaili się już widocznie i wojewodowie poznańscy i starostowie i miarodajne czynniki w Warszawie, bo nie widać żadnych znaków na niebie czy ziemi, któreby zwiastowały upragnioną zmianę.

Przez długi szereg lat trwało w Warszawie niewiadomo przez kogo zaszczepione przekonanie, że wobec rzekomego konserwatyzmu Wielkopolski wojewodami mogą być jedynie przedstawiciele wielkiej własności, o ile możności.. hrabiowie. — Dzięki temu poglądowi, któremu słuszność przyznaje bodaj jedynie kilkutysięczna warstwa wielkiej własności ziemskiej, oglądaliśmy kolejno trzech hrabiów na fotelu wojewódzkim, hrabiów o różnych skłonnościach, upodobaniach i aspiracjach, ludzi przeważnie niezwykle sympatycznych, świetnych causeurów, posiadających bodaj wszystkie walory umysłowe i bogate zdolności, prócz jednej, jedynej: zdolności takiego administrowania powierzonem ich pieczy województwem i takiego oparcia się o społeczeństwo, iżby wszelkie próby anarchizowania społeczeństwa straciły raz na zawsze grunt i rację bytu. Żałosne skutki braku tej właśnie kardynalnej umiejętności oglądamy właśnie dziś w Wielkopolsce!

Hrabiowie odeszli, ale system nie uległ zmianie. Nowi włodarze, ludzie niewątpliwie dobrej woli, którzy zasiedli przy ul. Gołębiej, popełnili błąd zasadniczy szukając oparcia przedewszystkiem w tej cienkiej warstwie legjonowej, która, jak to stwierdziliśmy na wstępie, nie zrosła się, niestety z społeczeństwem wielkopolskiem w jeden żywy, spoisty organizm. I znowu administracja oddaliła się po raz niewiadomo już który od społeczeństwa. I śmiemy twierdzić, mając na to dowody w głosach niejednego światłego Wielkopolanina, że sprawa administracji na naszym terenie i jej stosunku do społeczeństwa nie jest bynajmniej sprawą pochodzenia kierowników tej administracji z poza Wielkopolski, a temsamem jakgdyby upośledzenia miejscowego elementu przy obsadzie stanowisk: istotą tego zagadnienia jest stosunek administracji do społeczeństwa, jest brak oparcia się o najzdrowsze siły, tkwiące w świecie pracy fizycznej i umysłowej, jest niezdolność trwałego powołania właśnie tych sił do współpracy.

Geopolityczne położenie Wielkopolski dopomina się o należyte rozwiązanie problemu organizacji społeczeństwa i stosunku administracji do niego. I jeżeli niepokój, który dziś się szerzy po wsiach i miasteczkach wielkopolskich, nie ustąpi dzięki zdecydowanym i mądrym posunięciom przywódców obozu, jeżeli dalsze rozproszkowywanie żywych sił społecznych nie zostanie wstrzymane, jeżeli bezczynność i kwietyzm nie ustąpi dynamice żywo pulsującego nowego życia społecznego, natenczas ogarniający coraz szersze masy marazm może być w Wielkopolsce groźniejszym wrogiem interesów Państwa i polskiej racji stanu, niż nawet najsilniejsza opozycja anarcho-nacjonalistyczna, z którą w ostateczności administracja zawsze sobie jeszcze poradzi.

Poznań, w marcu 1936 r.

Andrzej Staszewski

DROGI I BEZDROŻA

Edukacja sejmu

Urodził się we wrześniu ub. r. Ojciec — sejm poprzedni, tego imienia czwarty, nie dożył tych narodzin. Matka o pięknem imieniu Konstytucja (należy ją odróżnić od tej Konstytucji, która była żoną Konstantego), kobieta młodziutka jeszcze i niedoświadczona nie mogła się zająć samodzielnie edukacją dziecka. Postanowiono prosić o opiekę akuszera. Był nim surowy i srogi rycerz Walery, który ponoś mieczem własnym wydobył dziecię z łona matki. Ale ów człek nieużyty zagniewał się — niewiadomo dobrze z jakiego powodu — na panią Konstytucję i po kilku tygodniach zrzekł się opieki, zrzędząc coś pod nosem i zupełnie przestał się interesować swoim pupilem.

Nowonarodzony sejm — był to więc sejm — bebe — zachowywał się jak cudowne dziecko. Już po czterech tygodniach zaczął stawiać pierwsze kroki, a potem zdumiewająco szybko nauczył się gadać. Cała rodzina z niemałym niepokojem obserwowała lekkomyślnego młodzieniaszka. Niepokój był uzasadniony, tembardziej, że nie brakowało dokoła niechętnych, którzy z nieskrywaną antypatją odnosili się do dzieciaka. Mówiono wszak, że to nie jest wcale twór natury, że nie narodził się prawidłowo, że to sztuczny twór rycerza Walerego, ot poprostu Golem, z drzewa wystrugany i czarodziejskiem ożywiony tchnieniem. Takie podejrzenia rozsiewali ci, co w czasie porodu przez dziurkę od klucza zaglądali do klinicznej sali, a umacniało w nich i zachowywanie się młodego sejmu, który poruszał się sztywno — jakby w samej rzeczy był rodzajem automatu — a gadał donośnie, ale nienaturalnym jakimś głosem.

Na opiekuna ofiarował się mały rycerz. Z niezwykłą cierpliwością i wyrozumiałością spędzał czas w towarzystwie swego wychowanka, uczył go czytać i pisać, był ponad możność ludzką wytrzymały na jego gadatliwość, a nawet perswazjami starał się uleczyć go z wrodzonej niesforności. Tylko czasem w swoim gabinecie ocierał pot z czoła i bezradnie rozkładał ręce.

Nie brakowało też i innych wychowawców bądź to z fachu, bądź też z zamiłowania. Zwabiały ich zapewnienia Konstytucji, że jej synek mimo nawet swoich przywar może w życiu kraju poważną odegrać rolę. Oczywiście z uniesieniem zastrzegała, jakoby młodzian tak uzdolniony miał być Golemem. Pod wpływem tych zapewnień nawet nieżyczliwi zaczęli się interesować poczynaniami sejmu. Otoczyli go kołem i z aprobatą przyjmowali niegrzeczności młodziana pod adresem małego rycerza oraz profesorów skarbowości i rolnictwa, zachęcając go do ich mnożenia i zapewniając, że jest to najlepszy dowód normalności.

I mimo drobnych incydentów wszystko ułożyłoby się jak najlepiej, gdyby nie wmieszała się do spraw sejmu pewna wróżka (w bajce musi być wróżka). Nazwijmy ją madame Katayoma. Ona to zaprowadziła młodzieńca do rzeźni. Kiedy sejm ujrzał świętobliwych rzezaków z długiemi nożami, no i poczuł zapach krwi bydlęcej, zaczął wierzgać nogami i rękami, wydawać z siebie różne głosy, a potem nawet niszczyć wszystko dokoła siebie, rozdzielając kułaki między oficjalnych pedagogów, a nawet poczciwego małego rycerza nie oszczędzając. Pewnego księdza tak złośliwie zdzielił, że nieborak musi pono do rodzinnego Wilna pojechać na dłuższą kurację. Profesorowie rolnictwa i wyznań z trudem tylko uchronili się przed jego ciosami. Jedynie tylko ksiądz Trzeciak znalazł u niego nieco posłuchu, bo młodzieniec szczególnie zainteresował się talmudem. Zapłakał mały rycerz nad takiemi wybrykami swego wychowanka, do którego zdążył się już przywiązać. Nieżyczliwi zaś cofnęli się nieco i wymieniając znaczące spojrzenia, głośno już zaczęli mówić — patrzcie, przecież to Golem!

A jakie zakończenie bajeczki? Podobno pani Konstytucja zraziła się do swojego syna, tęskni za innem dzieckiem i rozgląda się, ktoby mógł być jego ojcem. Niektórzy z przyjaciół namawiają ją, aby na głównego wychowawcę sprowadziła profesora Bartla ze Lwowa. Człowiek to znany z tego, że wychowywał poprzednie sejmy (sejm drugi tak ciężko go poranił, że musiał się udać na południe i długo nie mógł się wyleczyć), rozumiejący się i na pedagogice i na mechanice, a przytem — co tu dużo gadać — nie mający żadnych względów dla niesfornego młodzieńca. Już tam on dałby mu szkołę!

Trzy grupy i nic więcej

— Nie podobają mi się twoje przenośnie! — powiada ciotka, która przez ramię zagląda do mego rękopisu (djabli ją znowu nadali!). — To nie jest poważny sposób pisania. A pozatem przyznaj mi się, co knujesz?! Cenzora się boisz, czy jak?

— Ależ, słodka ciotuchno, tego się nie da inaczej napisać — tłomaczę uprzejmie. — Tu nie chodzi o cenzora, bo mam pełne zaufanie do tego rozumnego i sumiennego urzędnika. Ale widzisz, gdybym chciał inaczej przedstawić historję ostatniej sesji sejmowej, doprawdy, nic z tegoby nie wyszło! W całej tej historji nic nie nadaje się do analizy. Niema tam przecież żadnych kierunków, ani tendencyj, niema żadnych konkretnych pociągnięć politycznych, niema ani za grosz jakiegoś pragmatyzmu. Ach prawda, są trzy grupy!... Ale o tem pisze „Słowo" wileńskie.

Oddajemy więc głos p. Catowi. Są w sejmie trzy grupy i nic więcej. Jedna, to naprawiacze. Ale ich jest tylko dwudziestka, skryta pod firmą „działaczy wiejskich", którzy ponoć tem się odznaczają, że nic ich z wsią nie łączy. Szkoda o nich gadać i lepiej zająć się grupami generała Żeligowskiego i płk. Miedzińskiego.

Skąd on wytrzasnął tę grupę Żeligowskiego? Czy to nie jest przypadkiem brzydkie nadużycie firmy kochanego przez wszystkich zdobywcy Wilna, który w toku sesji sejmowej okazał tyle serca dla prostego ludu, obciążonego płaceniem podatków, a zarazem tak mało nerwu politycznego? Prawda, gen. Żeligowski głosował przeciwko pełnomocnictwom i wygłosił przemówienie, w którem nader krytycznie oceniał działalność rządu. Czyż z tego wynika, że przeciwnicy pełnomocnictw stanowią „grupę gen. Żeligowskiego?". I p. Morawski i p. Karśnicki i p. Hutten-Czapski i p. Zaklika, a może nawet i znany pogromca leśników, poseł Kozicki? Nie, to są chyba raczej pia desideria p. Cata-Mackiewicza. Redaktor „Słowa" chętnieby zmontował reakcyjną cześć sejmu i ozdobił ją nazwiskiem zasłużonego żołnierza. Ale nie mieszajmy niepewnych jego nadziei z konkretną rzeczywistością sejmową.

Taką konkretną rzeczywistością może być „grupa Miedzińskiego". Przynajmniej wskazują na to uwagi „Gońca", który z upodobaniem zajął się inwigilacją nacz. redaktora „Gazety Polskiej". Wystarczy, żeby Miedziński kichnął w sejmie, a oni w „Gońcu" już o tem wiedzą. Wiedzą zatem również, że p. Miedziński wziął na siebie trud opracowania deklaracji ideowej zrodzonego ongiś w podziemiach B. G. K klubu i że w klubie tym „ułatwia on rządowi pozyskanie członków klubu dla jego (t. j. rządu) tez", jednem słowem patronuje ewolucji, zmierzającej do wyłonienia się z obecnego chaosu w klubie „dyskusyjnym" jakiejś formacji ideowo - politycznej. Tem wszystkiem bardzo — podobno — martwi się p. Sławek. Ale czemże jest właściwie ten dyskusyjny klub uczestników walk o niepodległość? Widzimy tam, obok sen. Wojtka - Malinowskiego i sen. Bobrowskiego, całą gamę odcieni legjonowych, aż po pp. Jędrzejewiczów i p. Schaetzla. Wymiana myśli, jaka się w klubie odbywa, jest oczywiście nader pożyteczna, ale wszelkie usiłowania uzgodnienia poglądów i działalności w obrębie klubu oznaczałyby dlań początek końca.

Wracając do p. Cata - Mackiewicza jest on niezadowolny, że „grupa gen. Żeligowskiego" nie opanowała sytuacji w sejmie i nie obaliła gabinetu Kościałkowskiego przez odmówienie mu pełnomocnictw. Gorzko więc skarży się na skład sejmu, w którym na 181 posłów. Polaków doliczył się 114 „urzędników" państwowych i samorządowych. A więc i p. Mackiewicz zalicza się do zasadniczych wrogów tego sejmu. Absolutnie młody sejm nie ma szczęścia!

Fantomy

Na ostatnich posiedzeniach sesji sejmowej na sali pojawiły się fantomy 1923 r.

Przypomniano nam właśnie, jak to wtedy w sejmie zajścia krakowskie wywołały burzę, która skończyła się upadkiem gabinetu Witosa, Korfantego i Dmowskiego. P. P. S. zaciekle atakowała rząd, a w pierwszej linji szli do ataku, popierając ś. p. posła Marka, obok Daszyńskiego i Moraczewskiego, obecny senator p. Emil Bobrowski i płk. Miedziński, jeden z leaderów ówczesnej lewicowej opozycji. Kiedy więc poseł Pochmarski, jako reprezentant zbroczonego krwią Krakowa, zabrał głos w ostatnią środę dla odczytania swej interpelacji, na sali sejmowej zapanowała cisza grobowa. Przez chwilę zdawało się, że coś się stanie, że pojawi się znowu na tej sali historja. Ale gdy po p. Pochmarskim zabrał głos p. minister Raczkiewicz dla wygłoszenia dłuższej odpowiedzi, na interpelację krakowską, to wraz z tem — ściśle urzędowem — „naświetleniem smutnych wypadków krakowskich" przyszło zbyt szybkie — odprężenie. Rozeszło się po kościach!... W tym sejmie, i a sprawa musiała... rozejść się po kościach.

Oddźwiękiem wypadków krakowskich była może uczuciowa poprawka p. Pochmarskiego do pełnomocnictw, mówiąca o „nadzwyczajnych koniecznościach" (aprobowana zresztą przez rząd, tak, że bardziej naiwni posłowie napróżno dopytywali się, o co właściwie chodzi; logicznie też poprawkę krakowską „zredukował" senat). Niejasne było także stanowisko grupki posłów pracowniczych i robotniczych, którzy wraz z „grupą gen. Żeligowskiego" głosowali przeciwko pełnomocnictwom. W każdym razie nikt nie umiał z trybuny sejmowej oświetlić swej pozycji i swoich postulatów tak ściśle i dokładnie, aby opinja społeczna mogła się zorjentować, jaki jest stosunek sejmu do wydarzeń krakowskich.

A jednak kiedy milczą ludzie, nieraz wołają kamienie. Kiedy za mało wymowny jest sejm, to tem przeraźliwiej wymowny, tem bardziej jaskrawo wyrazisty staje się kraj. I wtedy sejm przestaje być aparatem, służącym do porozumienia się między rządem a między ludem, a kontakt między temi dwiema siłami Polski i nawiązuje się bezpośrednio... na ulicach miast i miasteczek.

NOSTROMO.

Z TYGODNIA

Wybory w Niemczech

Wynik wyborów do Reichstagu w Niemczech stanowi bezsprzeczny, niebywały sukces kanclerza Hitlera. I trudno powiedzieć, czy większym sukcesem w tej chwili jest wysoka frekwencja przy wyborach, wyrażająca się w 98,95 procentach, czy też równie wysoki procent, 98,79 głosów, opowiadających się za listą firmowaną przez kanclerza Hitlera. Chwila wyborów dobrana była wyjątkowo szczęśliwie. Nie ustał jeszcze pierwszy poryw entuzjazmu po zajęciu strefy zdemilitaryzowanej nadreńskiej przez wojska niemieckie. Społeczeństwo niemieckie dało dowód wybitnego poczucia solidarności narodowej i dyscypliny, jego wódz zaś nieprzeciętnych kwalifikacyj taktycznych. W sformułowaniu „Deutsche Allgemeine Zeitung" hasło wyborów wyrażało się w następujących czterech punktach: 1) udzielenia aprobaty polityce suwerenności, wyrażonej ostatnio w zniesieniu strefy zdemiliteryzowanej, 2) wyrażenie kanclerzowi wdzięczności za trzyletnią odbudowę Niemiec, 3) stwierdzenie, że ujawniona przez kanclerza Hitlera wola pokoju jest również wolą całego narodu niemieckiego, 4) wyrażenie votum zaufania kanclerzowi Hitlerowi dla umocnienia go w jego walce dla dobra Niemiec. Pierwszy z tych punktów stanowi niewątpliwą dominantę, nie sądzimy jednak, by i ten, który mówi o zaufaniu do wodza, nie był zdolen rozpalić ogromnych rzesz narodu niemieckiego. Dobrze wykorzystany moment pozwolił w dziele konsolidacji narodu niemieckiego uczynić poważny krok naprzód. Pozyskano w imię dobra sprawy skrajnie nacjonalistyczną i katolicką opozycję.

Z wyborów niemieckich wyciągnąć musimy pewne wnioski i dla siebie. Im silniejsi, bardziej uporządkowani wewnętrznie i zdolni do rozwoju potęgi są nasi sąsiedzi, a zwłaszcza ten sąsiad zachodni, tem usilniej zabiegać musimy o nasz wewnętrzny ład, naszą spoistość, zdolność rządzenia się i siłę.

Przyjazd ministra Muntersa

Niedawna wizyta łotewskiego ministra Wilhelma Muntersa w Polsce przyjęta została nader przychylnie przez opinję i prasę polską. Z przyjemnością dostrzeżono w tej wizycie przypomnienie dobrych stosunków polsko - łotewskich, oraz niesłabnących zainteresowań Polski dla państw bałtyckich. W wywiadzie, udzielonym przedstawicielowi „Polski Zbrojnej" przy wjeździe do Polski, mówił minister Munters o trzech kategorjach faktów, zachodzących w stosunkach między państwami. Pierwszą grupę faktów stanowić mają — zdaniem ministra Muntersa — te, które zawsze powinny być w świeżej pamięci i na uwadze, drugą—fakty, wymagające pewnego niezbędnego dystansu i wreszcie trzecią fakty, które powinny być zapomniane. Sądzimy, że nie jest to tylko zdawkową grzecznością, gdy minister Munters podkreślał fakty pierwszego rodzaju, jako dominujące w stosunkach polsko - łotewskich. W istocie obydwa państwa, Polska i Łotwa wykazywały i wykazują niezmienną wolę przyjaznego współżycia i współpracy.

Przyjazd ministra Muntersa do Polski jest tem donioślejszy, że nastąpił w chwili, w której złośliwość języków zdołała już dostatecznie rozpowszechnić mniemanie o cofaniu się polskiej polityki zagranicznej ze szlaku bałtyckiego.

Nawyki

Obrady nad pełnomocnictwami dla rządu w obydwóch izbach ustawodawczych ujawniły szereg charakterystycznych momentów dla psychologji „okresu przejściowego". Z jednej strony bardzo silnego uwypuklenia doznało stanowisko, które da się określić starem powiedzeniem, że reakcja ma tendencje do wyrównywania się w natężeniu z poprzedzającą ją akcją. Z przemówień wielu posłów wynikało, że tak, jak przed śmiercią Marszałka Piłsudskiego byliśmy często świadkami przeceniania roli rządu, tak obecnie poddajemy się łatwemu lękowi przed jego rolą. Pozatem jednak przejawił się ostro punkt widzenia, który stał się u nas nawykiem, a który podświadomie przypisuje wszystko, co się w państwie dzieje, rządowi i wszystkiego od rządu oczekuje. Najjaskrawiej wyraziło się to w przemówieniu posła Budzyńskiego, który wskazał słusznie na organizacyjne rozbicie społeczeństwa, wyciągnął jednak z faktu tego błędny wniosek, że dopóki rząd nie odbuduje wzgl. nie stworzy organizacji politycznej społeczeństwa, dopóty trzeba będzie odmawiać mu pełnomocnictw. Stanowisko to spotkało się z krytyką premjera Kościałkowskiego całkowicie uzasadnioną. Premjer Kościałkowski zarzucił posłowi Budzyńskiemu pomieszanie ról izb ustawodawczych i rządu. Przekonywująco brzmią słowa: „To panowie, biorąc normalnie, powinni stwarzać kontakt bezpośrednio ze społeczeństwem, a przez panów rząd. Przez panów rząd winien mieć bezpośredni kontakt z życiem, z potrzebami społeczeństwa, aby móc się ustosunkować do zagadnień i potrzeb społecznych i szukać najlepszych rozwiązań i rozstrzygnięć".

Z drugiej jednak strony niepodobna zaprzeczyć, że rząd i administracja państwowa nie są bez znaczenia w procesie organizowania się społeczeństwa na nowych podstawach. Ich postawa wobec inicjatywy i tendencyj społecznych odegrać może pierwszorzędną rolę. Wiemy jak postawa poprzednich rządów przyczyniała się do przyśpieszenia procesu rozkładu organizacyj politycznych starego systemu. Wydaje się jednak, że byłoby poważnem nieporozumieniem przerzucanie na barki rządu zadanie wyjścia z inicjatywą politycznego organizowania społeczeństwa.

Narasta poczucie konieczności utrzymywania ścisłego kontaktu ze społeczeństwem. Kontakt ten zawiązuje się już, czy to w formie osobistej, której reprezentantem jest np. poseł gen. Żeligowski, czy też w postaci tworzenia nowych powiązań grupowych na terenie parlamentu i w t. zw. dołach społecznych.

Z ZAGADNIEŃ PRACY

Spółdzielnie pracy

Zadaniem spółdzielni pracy jest organizowanie ludzi na terenie ich pracy zawodowej, umożliwienie swoim członkom wykonywania ich zawodu w spółdzielczym zespole w sposób jaknajbardziej pożyteczny dla nich i dla społeczeństwa

Spółdzielnie pracy pokrewnych zawodów łączą się w federacje — spółdzielcze towarzystwa przemysłowe, których zadaniem jest nietylko wykonywanie robót w danym zakresie, lecz również prowadzenie doświadczeń nad udoskonaleniem organizacji pracy, badaniem wynalazków w tej dziedzinie przemysłu i pomoc zrzeszonym spółdzielniom w ich pracy zawodowej oraz akcji społeczno-kulturalno-oświatowej.

Ponieważ rozwój każdej organizacji, tak jak i jej praca, zależy od ludzi, którzy kierują tą organizacją, a przy demokratycznem założeniu organizacji spółdzielni—rozwój spółdzielni i pożytek, jaki ona może dać członkom spółdzielni zależy przedewszystkiem od nich samych.

I dlatego, jednym z najważniejszych zadań organizacyjnych w spółdzielni pracy jest odpowiedni dobór członków i należyte ich przygotowanie — tak pod względem fachowym, jak i moralnym — aby stali się oni mocnym i pewnym fundamentem spółdzielni i wypełnili należycie te szczytne zadania, jakie mają do spełnienia.

Statuty spółdzielni pracy — dla należytej selekcji kandydatów — przewidują konieczność pracy kandydata w spółdzielni, gdyż przy pracy najlepiej można poznać i ocenić wartość człowieka. Przyjęcie na członka może nastąpić dopiero po okresie próby, która może trwać od sześciu do dwunastu miesięcy.

Pracę w spółdzielniach pracy mogą otrzymać i nie członkowie, którzy pracując w spółdzielni, uczą się sumiennej pracy i ulegają dodatnim wpływom otoczenia. Ci ludzie po dostatecznem przygotowaniu są przyjmowani do spółdzielni pracy na członków i tą drogą rozrasta się armja spółdzielczości.

Spółdzielnie posiadające w zarządach ludzi fachowych, zdolnych i uczciwych, posiadające członków pracowitych, sumiennych i karnych — mogą tanio, solidnie wywiązywać się z podjętych robót, przez co zaskarbiają sobie poważanie i zapewniają ciągłość roboty.

Robotnicy i pracownicy, zatrudnieni w spółdzielniach pracy, muszą starać się wykonać swą pracę jaknajlepiej, nie skąpiąc wysiłków, aby ta instytucja, która daje im pracę, rozwijała się, krzepła i dawała jaknajlepsze rezultaty. Bodźcem do tego musi być nietylko zrozumienie własnego interesu, lecz także zadowolenie, że każdy ich wysiłek myśli i pracy przyczyni się do wzmocnienia ich wspólnego warsztatu pracy.

Racjonalna i oszczędna gospodarka, statutowe odkładanie 50% nadwyżki na kapitał zasobowy — pozwala spółdzielni zaopatrzyć się w najlepsze narzędzia pracy i nagromadzić duże kapitały obrotowe.

Dostęp techniki staje się dobrodziejstwem ludzkości, bo jest wykorzystywany przez spółdzielnie dla dobra całego społeczeństwa, nie wywołując masowych redukcyj, bezrobocia, tej klęski świata pracy i państwa.

Usuwając pośrednictwo, nadmierne zyski, ulepszając organizację pracy, pomniejszając koszty administracyjne, spółdzielnie pracy przyczyniają się do obniżenia cen bez obniżenia zarobków, co znacznie może podnieść konsumcję, a co za tem idzie i produkcję.

Obniżenie kosztów produkcji, podniesienie jakości wykonywanych w kraju wyrobów wzmaga eksport przemysłu.

To wszystko ułatwia podniesienie poziomu kulturalnego i utrwala dobrobyt szerokich mas ludności.

* * *

Praktyka, niestety, nie odpowiada naogół dotychczas powyższym założeniom. Ruch społeczno-gospodarczy świata pracy nie dał dotychczas oczekiwanych rezultatów. Większość placówek tego rodzaju powstaje bez należytego przygotowania członków. Jako wynik — do władz wchodzą ludzie nieodpowiedni, tak pod względem moralnym, jak i fachowym. Placówki te, powstające jak grzyby po deszczu, bez należytego przygotowania, pękają jak bańki mydlane — narażając członków i dostawców na straty materjalne. To podkopuje zaufanie tak czynników państwowych, jak i świata pracy do wszelkich zbiorowych poczynań społeczno-gospodarczych.

Powstająca w tych warunkach każda spółdzielnia pracy zgóry spotkać się musi z niewiarą, z brakiem zaufania.

Aby uchronić spółdzielnie pracy od kompromitacji, aby móc osiągnąć rezultaty odpowiadające wyżej nakreślonym założeniom, należy poddać je instrukcyjnej opiece, ścisłej, rzeczowej i rygorystycznej kontroli odpowiednich czynników państwowo - społecznych. Spółdzielnie pracy muszą stworzyć swój związek rewizyjny.

Należy pozatem jeszcze raz podkreślić, że rozwój każdej placówki zależy od ludzi, którzy nią kierują i dlatego należałoby drogą propagandy rekrutować robotników, pracowników i techników z różnych dziedzin przemysłu, wybierając spośród kandydatów jedynie jednostki moralnie wartościowe. Dla tych ludzi trzebaby w Warszawie, jak również w innych ośrodkach przemysłowych, zorganizować kursy wieczorne, któreby ich kształciły na kierowników spółdzielni pracy.

W tychże ośrodkach przemysłowych należałoby zorganizować wzorowe spółdzielnie pracy, w których ci kandydaci mieliby zatrudnienie i któreby mogły stać się dla nich szkołą praktyczną dla pracy spółdzielczej.

Tacy wykształceni teoretycznie i wyrobieni praktycznie spółdzielcy staliby się organizatorami i kierownikami nowopowstających spółdzielni pracy, opartych na zdrowych podstawach.

Z. Dzierzański.

PRZEGLĄD PRASY

W obliczu niebezpieczeństwa

Warunki zewnętrzne wskazują aż nadto dobitnie na konieczność zjednoczenia wszystkich sił i zmobilizowania ich do dzieła obrony.

„Polska Zbrojna“ postulat solidarności i spoistości wewnętrznej wysuwa na czoło zagadnień chwili obecnej. Pisze ona:

„Obywatel, w jakiemkolwiek ugrupowaniu przekonaniowem się znajduje, musi dzisiaj zrozumieć, że nie wolno mu dawać pozorów niezgody i rozdarcia w chwilach, gdy nie z naszej woli i wbrew naszym wysiłkom pokój Europy może być zagrożony“.

„...W tak wyjątkowej sytuacji inicjatywa wyjść musi od czynnika najsilniejszego i obdarzonego niezachwianem zaufaniem, t. j. od państwa, ale potrzeby i program prac są tak olbrzymie, że żadna grupa wartościowa, nawet żadna wybitna jednostka ominięte i zmarnowane być nie mogą“.

Z cytowanym artykułem polemizuje szereg pism opozycyjnych, które aczkolwiek godzą się na konieczność zespolenia społeczeństwa wobec niebezpiecznej sytuacji, wysuwają swoje pretensje odnośnie sztandarów, wokół których ma się dokonywać konsolidacja wszystkich sił społeczeństwa. Stara śpiewka: idziemy na solidarność, ale pod warunkiem, że my przewodniczymy!

„Głos Narodu“ wskazuje nawet wyraźnie drogę zjednoczenia, które — zdaniem pisma — dokona się jedynie wokół o s o b y:

„Jedność narodu potrzebuje symbolu, wyrazu, formy. Potrzebuje człowieka, któryby był jej heroldem i żywem wcieleniem“.

Wierzyć się oczom nie chce. Wszakże tak niedawno jeszcze „Głos Narodu“ i pisma z jego obozu namiętnie zwalczały „ducha Wschodu“, który — ich zdaniem — wyrażał się w stawianiu na piedestale narodowych świętości — Człowieka. Wtedy mówiło się, że to bizantynizm, Azja... Widać, zmieniają się poglądy, gdy chodzi o swoje, bliższe sercu, osoby.

„W momencie rozchwiei, która nas ogarnęła po wojnie, symbolem i zarazem czynnikiem jedności narodowej stał się Paderewski. Pamiętamy potężny odzew narodu na jego ówczesne wezwanie do jedności. Dzięki niemu staliśmy się przez chwilę jednością, nie zatracając wielości“.

„Kurjer Warszawski“ w artykule B(olesława) K(oskowskiego) „O maksimum patrjotyzmu“ wysuwa ciekawą tezę:

„Osiągnięcie spoistości wewnętrznej, doprowadzenie do solidarności narodowej, chętne wzięcie na siebie przez ogół dodatkowych ciężarów finansowych, powołanie ludzi najzdolniejszych do pracy obronnej, wyrzeczenie się zatem w rzeczach fachowych kryterjów czysto partyjnych, pozyskanie w narodzie zaufania co do tego, iż nowe ofiary materjalne będą zużyte celowo i skrupulatnie, „złączenie (jak pisze Polska Zbrojna) wysiłków rządu z wysiłkami społeczeństwa“ — to wszystko należy do dziedziny czystej polityki“.

Podkreślając jednoczące wypowiedzi wicepremjera Kwiatkowskiego, wytyka równocześnie uwydatniania głębokości, istniejących w społeczeństwie, antagonizmów przez premjera Kościałkowskiego i min. Raczkiewicza.

Wreszcie pyta „Kurjer Warszawski“:

„Jak można wzmódz przeświadczenie społeczeństwa o racjonalizacji gospodarki finansowej inaczej, niż dając mu możność sprawowania prawdziwej, ścisłej, bezspornej kontroli na tem polu? Jak wywołać poczucie solidarności społecznej inaczej, niż rozszerzając zakres odpowiedzialności społeczeństwa za pracę państwową? Jak zrodzić „spoistość wewnętrzną“ inaczej, niż przedewszystkiem dając od góry dowody zupełnej ponadpartyjności?“...

Na konieczność wyraźnych pociągnięć politycznych, jednoczących naród i jego poszczególne grupy w jedno ognisko — wskazuje również *„Goniec Warszawski“*. Postulat „Polski Zbrojnej“ („żadna grupa wartościowa, nawet żadna wybitna jednostka, ominięta i zmarnowana być nie może“) musi być w pełni spełniony.

„Gdy przyszła chwila — pisze „Goniec Warszawski“ *— że cały naród musi wziąć odpowiedzialność za zorganizowanie środków obrony, społeczeństwo i jego organizacje muszą odzyskać głos“.*

Inteligencja na cenzurowanem

Zagadnienie pozycji dzisiejszej inteligencji w układzie stosunków społecznych w Polsce, jest zagadnieniem niezmiernie interesującem i posiadającem wielkie znaczenie. Nic więc dziwnego, że sprawa ta prawie równocześnie została poruszona w sposób zasadniczy, jakkolwiek z różnych punktów widzenia, na łamach dwóch pism: „Kurjera Porannego“ i „Prosto z mostu“.

„Kurjer Poranny“ zwraca przedewszystkiem uwagę na ogromne rozproszkowanie pracowników umysłowych, którzy w żadnej sprawie nie mogą znaleźć wspólnej platformy rozumowania i działania. Brak jednolitości w poglądach na zagadnienia gospodarcze, brak zbiorowej opinji o swoich zadaniach i obowiązkach społecznych, bezplanowość wysiłków jednostek — powodują, że inteligencja nie odgrywa dziś żadnej roli twórczej.

„Gdyby polscy pracownicy umysłowi mieli odrobinę instynktu samozachowawczego — to stanęliby solidarnie za polityką rozwojową. Stanęliby oni murem za światem robotniczym, który jakkolwiek rozdarty jest głęboko różnicami w poglądach politycznych, w tem jest jednak solidarny, że tragicznie broni warsztatów pracy i woła o nowe.

Z brakiem instynktu samozachowawczego łączy się w grupie polskich pracowników umysłowych brak mocnej ambicji przewodnictwa w wysiłkach pracowników fizycznych. Mózgi i ręce polskie pracują osobno...

„Pracownicy umysłowi nie są podzieleni, lecz rozproszkowani. Jest to zaiste kupa piasku, żwirowisko“.

Wojciech Wasiutyński w *„Prosto z mostu“* zastanawia się nad przyszłością t. zw. inteligencji polskiej. Mówi on przytem:

„Czasby już najwyższy zaprzestania używania przestarzałego terminu „inteligencja“. — Trzeba zacząć używać właściwego określenia „warstwa urzędnicza“.

Dzisiaj bowiem niema już wolnych zawodów. Zarówno lekarze, jak adwokaci i inżynierowie, pracują w urzędach lub instytucjach państwowych, półpaństwowych, samorządowych, kartelowych, zagranicznych i t. d. Wszyscy są urzędnikami.

„Nawet malarze są coraz częściej urzędnikami po muzeach, bibljotekach“...

Nawet samorząd gospodarczy i zawodowy nie jest wolny od potwornego ciężaru biurokracji.

„Jest dziś taki stan, że jeżeli czterech mydlarzy założy związek, to muszą brać „dyrektora“ z wyższem wykształceniem, żeby się rozmówił swoim inteligenckim żargonem z „dyrektorami“ innych związków, z Izbą, Urzędem, Zarządem Miejskim“.

Sytuacja taka jest z gruntu niezdrowa i nie może być w przyszłości utrzymana. Czy wszystko znajdzie się w ręku państwa, czy przyjdzie komunizm, czy też nacjonalizm — nie będzie miejsca na taką biurokrację.

„Więc co z tobą będzie, klaso urzędnicza? Najsilniejsi, najmądrzejsi dadzą sobie radę, ale masa? Masa nie weźmie się do innej roboty, bo do niej jest niezdolna, bo jest wychowana na urzędników, bo twórczej pracy nie umie i nie rozumie, do warsztatu nie stanie, wsi gospodarczo nie zorganizuje, państwem kierować nie będzie...

...Co z wami będzie, inteligenci, za lat kilkanaście?“.

Odpowiedź p. Wasiutyński daje taką:

„Będziecie liszeńcami. Bez względu na to, jaki będzie ustrój, wy będziecie liszeńcami. I wyrzucenie żydów i przebudowa ustroju w jakimkolwiek kierunku, może przynieść pewną ulgę, nie może was uratować, jako całej masy.

Bo wy w każdym razie będziecie liszeńcami.

GŁOSY POLEMICZNE

Wańkowicz i „Wiadomości Literackie“

Na list M. Wańkowicza do Juljana Tuwima, znany czytelnikom z numeru 5-go naszego pisma, zareagowały „Wiadomości Literackie“ dowcipami. Niestety, ta Polska staje się nudna: coraz mniej spraw daje się w niej załatwiać na wesoło. To też trudno uznać, aby dowcipy „Wiadomości Literackich“ istotnie załatwiały tę niewątpliwie nieprzyjemną sprawę.

W danym wypadku dowcipy te mają nadto oryginalną pointę: oskarżenie Wańkowicza, że w roku 1918 „Gazeta Warszawska“ drukowała jego korespondencję z frontu (metoda kucharki, myślącej, że wiadomościami z kuchni wywoła wielkie wrażenie). Będziemy hojni. — O ile nam wiadomo — oskarżenie można rozszerzyć: korespondencje Wańkowicza ukazywały się jeszcze i w innych „nieprawomyślnych“ pismach: w „Robotniku“, w „Kurjerze Warszawskim“, w „Rzeczpospolitej“. Niechaj „Wiadomości Literackie“ skrzętnie odnotują i tę wiadomość.

List p. Wańkowicza nie był listem tylko osobistym. Sprawa w nim poruszona żywo zaniepokoiła opinję publiczną. Jak był przyjęty, świadczą napływające do Redakcji listy. Listy te — szczególniej z Łodzi — poza wyrazami solidarności zawierają też szczegóły, któreby mogły dorzucić jeszcze nieco materjału do sprawy podniesionej przez p. Wańkowicza.

Nie jesteśmy jednak zwolennikami dorożkarskiej taktyki wzajemnej wymiany argumentów bata na skórze wiezionych przez obie strony pasażerów. Szczególniej w tej sprawie. Stąd też nie chcemy polemiki przedłużać nad istotnie niezbędne ramy. Pozwalamy sobie tylko wyrazić sąd, że przyjaciele p. Tuwima, którzy dzisiaj pragną go pomścić, mogliby okazać mu lepszą przysługę, odradzając drukowanie niefortunnego artykułu.

REDAKCJA.

Z dniem 1 marca redakcja i administracja „Narodu i Państwa“ zostały przeniesione z ul. Czackiego, na ul. Widok 3 m. 33 tel. 609-70.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Z a g r a n i c ą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rach. 771, lub 2) — blankietem nadawczym P.K.O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10 —11, środy godz. 17 — 18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10 — 14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia“ Sp. z ogr. odp. Sekretarz Redakcji i Redaktor odpowiedzialny: Adam Andrzejewski

Druk. „KADRA“, Warszawa, Długa 50, tel. 11-86-30. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.